PANNA ŻABIŃSKA

TRZASKA

PANNA ŻABIŃSKA

OBORA ZARODOWA W KACZYNOWIE
MALIGNA — ANTOSIA
FILOZOF
URYWEK Z DZIENNIKA HELENY P.

WARSZAWA
GEBETHNER I WOLFF
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1901

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
w Kielcach
90451

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

PANNA ŻABIŃSKA

Cała rodzina Żabińskich żniwem zajęta. Matka, córka i syn wyrostek, pochyleni, w milczeniu, szybkim ruchem sierpa pszenicę podcinają, a gdy się w lewej ręce pełna garść zbije, prostują się, odwracają i za siebie na ścierni ją kładą. Opodal za nimi ojciec systematycznie garść po garści zbiera, pasem ściska, wiąże i w mendle zestawia.

Dzień sierpniowy skwarny jest. Na błękicie bez chmur słońce zenitu dobiega. Dokoła, jak okiem sięgniesz, widać gromadkami żniwiarzy pracujących, snopki ustawione, wozy ładowne. Tu i owdzie już ludzie łan rzucają i ku wsi na wypoczynek południowy ciągną.

Żabińscy wciąż żną. Nareszcie matka

staje, ociera rękawem pot z twarzy i rzecze:

— Trza iść na obiad, niema rady. I takeśwa dziś kawał roboty położyli!

— A sucha, bo sucha pszeniczka latoś — doda stary. — Choć odrazu w zasiek wozić, dalibóg.

— Pójdźta, matulu, obiad szykować, a my jeszcze pożniem kszynkę z Wickiem — ozwała się dziewczyna.

— Akurat! To se żnij jak ci ochota, mnie już i tak w plecach strzyka... od słonka wschodu ni tchu złapić...

Roześmiała się:

— To wstyd mężczyźnie u żniwa ustać.

I dalej pochylona zboże kładła.

Starzy już szli ku domowi, Wicek za nimi. Matka zawołała:

— No, Oleśka, chodź, jeszcze się nacieszysz do wieczora.

— Idę, idę! Ale gdzie to mój kaftan? Nie widzieliśta kaftana mojego?

— Toć ci go nikt nie porwał.

— Pewnikiem u smugu rano ostał. Skoczę go wezmę i idę.

Pomknęła szybko miedzą, oglądając się co chwila na rodziców. Mogła mieć lat osiemnaście lub dziewiętnaście. Boso była, i prócz białej koszuli, nieco u szyi wyciętej, o rękawach do łokci, miała tylko na sobie lnianą czerwoną spódniczkę i niebieski fartuszek. Biała chustka, zawiązana pod brodą, zakrywała jej całą głowę i uszy, ocieniała twarz smagłą. Z cienia tego strzelało dwoje żywych, czarnych oczu, nosek maleńki, nieco zadarty i usta jaskrawe jak kwiat maku dzikiego. Wzrostu była niedużego, ale, choć okrągła i pulchna, zręczna i zwinna.

Dobiegłszy nad smug czyli łączkę, weszła w stojącą jeszcze pszenicę, podjęła z wiadomego sobie miejsca kaftanik perkalowy, różowy w białe grochy, nałożyła go, zdjęła chusteczkę, obtarła fartuszkiem spoconą twarz i szyję, po-

prawiła włosów, zawiązała napowrót chustkę, rzuciła oczyma w koło i pobiegła skrajem łąki.

Ludzie z pól okolicznych wszyscy już zeszli na obiad. Nieruchomość i cisza południowa zaległa kraj skąpany w morzu światła złotego, jakby upojony jasnością tą i żarem. Jednej Olesi krok lekki słychać było, i rojny brzęk muszek, które budziła dotykając trawy.

Za chwilę na lewo i na prawo pagórki zasłoniły dalszy widok cały, łączka zaś zarastała rokiciną gęstą i wysoką. Obejrzała się dziewczyna raz jeszcze i weszła w krzaki.

— Dzień dobry Olesi! — zawołał zrywając się z ziemi chłop lat dwudziestu kilku, wysoki, prosty jak świeca, o niebieskich wesołych oczach i wąsiku koloru konopi, do góry podkręconym.

Olesia stanęła, czerwieniąc się.

— Dzień dobry Stasiowi — odrzekła.

Popatrzyli na siebie uśmiechając się,

poczem chłopiec szybkim ruchem ujął dziewczynę w ramiona, chcąc ją w twarz pocałować. Wykręciła się, wymknęła mu, ledwo ją za rękaw przytrzymał.

No, no, niech się Olesia nie boi, już nie ruszę. Ale przecie na dzień dobry to pocałować można.

— Nie, nie można.

— I długo to jeszcze będzie tych ceregieli?

— Patrzajta go, ceregieli! Będzie tak, aż póki wrony za jaskółkami pod wodę na zimę nie wlazą!

Puścił Stasiek rękaw i chmurny rzekł:

— Już ja miarkuję, co mnie nigdy na prawdę Olesia nie polubi.

Spojrzała mu w oczy z wyrzutem:

— A na cobym ja nad rzekę latała, i tutaj tera była, kiejbym nie lubiła?

— No to czego się nie da pocałować?

— Bo to grzech.

— Jak dla zbytków, to grzech. Ale

jak... A cóż tam starzy? Nie gadała pewnikiem Olesia jeszcze nic.

— Tera żniwa, nie pora na takie interesa.

— Jak będzie pora, znowu z za gór, z za borów przyjadą konkurenty, i jeszcze któren Olesię rozmiłuje.

— Jak mi Staś nie wierza, to trudno, lepiej dajmy sobie zara spokój.

— Wierzam, wierzam, tylo zwyczajnie człeka strach bierze.

— Tera nikt nie przyjadzie, aż może kiedy na św. Michał.

— Olesia oto zawdy żartuje. Nie trza czekać aż jaki szlachcic starych zbałamuci. A kto wie, może próżny nasz strach, może nam nie będą bronić? Toć rodzonemu dziecku krzywdy nie zechcą czynić.

Dziewczyna spoważniała, poruszyła głową z powątpiewaniem.

— A co oni na mnie mogą powiedzieć? Co? — ciągnął dalej Stasiek. —

Do kościoła nie chodzę? Pijak-em? Złodziej-em? Roboty się boję? Mórg-em do południa dziś skosił, i bez obiadu drugi do wieczora położę. Żem nie bogacz? I pan Żabiński jak zaczynał, też tysięcy nie miał. A ja jakbym braci i siostry z gruntu spłacił, tobym bez mała tyle pola miał co pan Żabiński. Zobaczyliby ludzie, jakąbym gospodarkę zaprowadził!

Olesia patrzyła na niego z uwielbieniem, ale milczała.

— To jedno, com nie ze szlachty. Prawda, co pan, to pan, choć boso chodzi i świnie pasa, a pan. Choć po nocy cudzą łąkę wypasa, a pan. Cudze drzewo z lasa nocą wywozi, a pan! W więzieniu trzy miesiące albo i rok odsiedzi, a tak i...

— Niedobry Staś, pójdę! – przerwała.

— Niech się nie gniewa Olesia, toć pan Żabiński nie okradł nikogo, ani co. Ja tak ino o drugiej szlachcie gadam,

co na chłopa plują, a same gorsze łajdaki. Trudno się człekowi nie gryźć, kiej taką śliczną pannę pokochał, i panna nie od tego, a tu... Szlachta gorzej zawzięta jak pany. Taki hrabia Brzeziński, tyle folwarków ma, a pono się z żydówką ożenił. I dlatego hrabią jest jak był, i biskup na wiosnę w Lechowie obiad jadł. Tera inne czasy. A toć ja nie żyd, a chrześcijan!

— Jeszcze ojciec to bajki, ale z matką!... Ola Boga, zagadałam się, znów będzie heca!

— A wieczorem przyjdzie Olesia do rzeki?

— O, dziś niema sposobu, ani jutro. Jeszcze jak nas tera kto podpatrzył?!

— No to kiedy?

— Przez Paniczkę powiem.

— Zgoda. To dobranoc Olesi.

Przytulił ją do siebie, a ona się już teraz nie broniła, pocałował ją koło ust,

ona szepnęła: »do widzenia«, spojrzała mu ostatni raz w oczy i znikła.

* * *

Pan Klemens Żabiński przed laty odziedziczył był po ojcu, do spółki z bratem, zagrodę z domem, stodołą i chlewami, dwadzieścia morgów pola, sześć łąki, trzy lasu olszowego i gotówką 366 rubli. Złe języki gadały, że pieniędzy zostało kupę więcej. Ale dokumentu na to nie było nijakiego, a że pan Klemens przeczył, stara matka też, musiano im zawierzyć. Starszy brat wyrostkiem jeszcze opuścił był Żabin, i teraz, służąc za ekonoma w jednym z folwarków hrabiego Brzezińskiego, nie parł się do wsi wracać. Klemens więc został na ojcowiźnie. Poślubiwszy Agnieszkę z Orzechowskich, wziął 800 rubli posagu i spłacił brata.

Gospodarzył skrzętnie, a i wiodło mu

się: rodziło się zboże, doliły się cielęta, jagnięta, źrebięta, ba! i prosiaki i gęsiaki, a że żyli oszczędnie, pracując sami, mieszkając w odwiecznej zapadniętej chacie, nie bawiąc się, on w tużurki a ona w kapelusze, zbijali Żabińscy grosiwo.

Póki dzieci były małe, trzymał Żabiński parobka, ale od półtora roku Olesia i Wicek robocie podołać musieli. Domu pilnowała i obiad nastawiała staruszka matka. Krytykował ten i ów pana Klemensa za skąpstwo, ale on sobie nic z tego nie robił i pieniądze ciułał, a choć sąsiad niejeden miał dwa i trzy razy tyle ziemi, uważania nie miał nikt we wsi większego.

W niedzielę i święta cała rodzina, prócz babki, jechała do kościoła szerokim »wolantem« o fartuchu skórzanym, zabytkiem jeszcze po poprzedniem pokoleniu. Rodzice zajmowali siedzenie, Wicek siadał na koźle, Olesia obok niego

lecz tyłem do koni. Latem jednak, a i zimą w pogodę, dziewczyna wolała iść pieszo z rówieśniczkami.

Którejś niedzieli gdy wyjeżdżali ze wsi, usłyszeli z za płotu głos:

— A niech tam państwo dobrze patrzą, coby gdzie po drodze o twardy bobek nie zawadzić, bo się kareta rozsypie!

Zawstydzili się państwo Żabińscy. Pani Agnieszka przyznała, że wartoby dziury w wasągu załatać, farby brunatnej kupić w mieście i jako tako wolancisko odsmarować. Ale pan Klemens machnął ręką:

— No, no, pierwej zobaczym jak tam buraki wydadzą latoś!

* * *

Poprzedniego roku, gdy deszcze żniwom przeszkadzały, a skoro słońce zaświtało co tchu zboże z pola łapać trzeba było, wziął był Żabiński na ty-

dzień z sąsiedniej wsi pomocnika, gospodarskiego syna, Stanisława Kruka. Wesoły to był chłopiec, wciąż się śmiał, pośpiewywał i wygrywał na harmonji. Nawet mu muzyki za złe brać nie można było, bo robił za dwóch. Ale niech do podwieczorku przystaną, niech się wóz po snopki minutę spóźni, a już oberek od ucha idzie. Gdy się sprzęt skończył i Stasiek odszedł, smutno się zrobiło u Żabińskich jak po śmierci czyjej.

W pierwszą potem niedzielę, w Goworowie, gdy się po nabożeństwie wysypali ludzie na rynek, podszedł Kruk pozdrowić panią Klemensową i Olesię. Ucieszyła się do niego dziewczyna serdecznie i jęli rozmawiać wesoło, aż Żabińska musiała córkę za rękaw pociągnąć:

— No, chodź, siadaj z nami, pojedziemy.

— Pójdę na piechtę z Modzelewiankami.

— Nie, siadaj z nami.

Widocznie starej nie spodobała się poufałość publiczna Kruka. Co święto jednak znalazł Stasiek sposobność do Olesi się przysunąć i komplimenta prawić. A jak szła do kościoła pieszo, to już zawsze Kruka po drodze spotkała. Raz szli sami z wiorstę, i wtedy wyznał Stasiek dziewczynie swoje miłowanie, oświadczył jej, że ładniejszej nie widział jak żyje, tak że dzień i noc tylko o niej myśli. Olesia czerwieniła się, przyspieszała kroku, ale szczęśliwość ją ogarnęła, o jakiej dotąd pojęcia nie miała.

Niestety źli ludzie nie mogli nie zwrócić na te zaloty uwagi. Doszło to zaraz do Żabińskich. Matka zrobiła awanturę, że się szlachecka córka z »chamem« oberwańcem zadaje, ojciec zapowiedział, że jak się raz jeszcze o czemś

podobnem dowie, sprawi córce, a i Krukowi, »lanie«. Boć przecie o ożenku Żabinianki z takim Krukiem, »ukaźnym« chłopem, nie mogło być mowy, więc oczywiście tylko o rozpustę chodziło, łajdactwo i obrazę Boską. Spłakała się Olesia, nie jadła nic dwa dni. Nie dano jej już ruszyć się samej ze wsi.

Koło Bożego Narodzenia zjechał do Żabina stryj Damazy, ekonom hrabiowski. Przywiózł ze sobą młodzieńca chudego, bladego, lecz odzianego bogato w olbrzymi kożuch o granatowym wierzchu. Był to konkurent o rękę Olesi, syn zamożnego szlachcica z sąsiedniej parafji. Żabińscy mile go przyjęli, ale Olesia, dorozumiawszy się o co chodzi, uciekła do obórki i ani rusz wyjść nie chciała. Matka wpadła w gniew, ojciec aż kijem zagroził; uległa, cały wieczór jednak oczów nie podniosła i ust nie otworzyła. Gdy stryj wychwalał

swego protegowanego, opowiadał o gospodarce, inwentarzu, porządkach jego rodziców, dziewczyna ruszała ramionami.

Ostatecznie konkurent odjechał skonfundowany, stryj zły, Olesia zaś przez kilka dni doznała prawdziwego piekła od rodziców. Nie odpowiadała im nic, tylko:

— Nie chcę iść za tego, ani za drugiego, jeno za takiego, co mi się spodoba.

— A tak, za tego chama może? Nie doczekanie twoje.

— Niech on się tylo tu pokaże! — wygrażał ojciec.

Powoli przestano mówić o zajściu, zawsze jednak Żabińscy córki ostro strzegli. To też przez zimę widywała Kruka tylko w kościele i to zdaleka. Ale gdziekolwiek się ich oczy spotkały, wnikały w siebie, i bez słów, bez uśmiechu widzialnego nawet, rozumieli się, czuli że wierni są sobie. Raz się Kruk

do Żabińskich zbliżył, zdjął czapkę, mówiąc: »dzień dobry pani«, ale pani Żabińska się odwróciła i córkę za sobą w drugą stronę pociągnęła.

Co i raz, czy to w domu, czy przy robocie, wpadała Olesia w zadumę. Staśka postać majaczyła jej się przed oczami, i tęsknota ją brała ogromna. Tylko że to młodość młodością, więc nieraz, bywało, przepomni frasunku, i zatańczyć i zaśpiewać potrafi, a rodzice się pocieszali, że sobie Kruka z głowy wybiła.

W samo półpoście przyszedł do Żabińskich sołtys, pan Borkowski, i po wyczerpującej rozmowie o przeszłych mrozach, widokach urodzajów i komecie zapowiedzianej w kalendarzu, odchrząknął i rzekł:

— Mości dobrodziejaszku i mościa pani, ten tego, zawżdy koniec końcem, jak się przy Boga najwyższego pomocy, mości dobrodziejaszku, dzieci jak się

należy odchowało, przychodzi czas i termin im tak samo stateczny byt, stateczny byt, mości dobrodziejaszku... ustanowić. Tak dziady nasze, mości dobrodziejaszku, i pradziady rozumiały, i nam też na to przychodzi, co nijakiego skutku odpowiedzialnego niema, jako, mości dobrodziejaszku, w sakramentach przez Kościół nasz święty umocowanych, a w małżeństwie i bogobojnem pożyciu.

Sapnął ciężko. Żabińscy wszystko pięcioro patrzyli na niego nic nie rozumiejąc. Pan Borkowski spojrzał na Olesię i Wicka, i ciągnął dalej, wskazując ich:

– Z przeproszeniem, mości dobrodziejaszku, jako przyszedłem w interesie do pana Żabińskiego i pani Żabińskiej szczegółowym, a ta panna piękna, mości dobrodziejaszku, i kawaler ten, żeby z przeproszeniem na dwór wyszli, mości dobr...

— To już ja wiem co to będzie! — zawołała Olesia wychodząc z bratem.

— A to mądra! mości dobrodziejaszku. I mądra, i piękna, i bogata! To też sława jej, a i pana Żabińskiego, mości dobrodziejaszku, a i pani Żabińskiej, tak samo akurat, po całej Polsce, jako trąba archanioła, mości dobrodziejaszku, brzmi. Z całego świata swaty o skarb taki się zjeżdżają, mości dobrodziejaszku. Ja tam po świecie nie bywam, swojej zagrody, mości dobrodziejaszku pilnuję, co ją z dziada pradziada trzymam. Ale mnie się patrzy, co nie potrzeba, mości dobrodziejaszku, świata całego lustrować, a i blisko, w naszym Żabinie, znajdzie się mości dobrodziejaszku kawaler... albo i wdowiec, młody, odpowiedzialny, kość z kości, krew ze krwi naszej, mości dobrodziejaszku, a nie przybłęda żaden, i Ol... Aleksandra córka nie pojedzie za dziesiątą granicę, a między swoimi, mości

dobrodziejaszku, ostanie, i na gospodarce odrazu jak się patrzy osiądzie, prawdziwą panią mości dobrodziejaszku, jako jej przystoi, będzie.

— O kimże to pan Borkowski mówi? — spytała Żabińska.

— Sąsiad bliski, mości dobrodziejaszku.

— Któren?

— Roliński Onufry.

— A no, stateczny gospodarz, porządny — rzekł Żabiński.

— On, mości dobrodziejaszku, jak nie sędzią, to ławnikiem na pewne tej jesieni będzie.

— Tylo dla naszej dziewczyny nie młody, i wdowiec.

— To co? To właśnie, mości dobrodziejaszku, cała ozdoba, co on wdowiec. Jak on już jednę, mości dobrodziejaszku miał, to nie przymierzając, jak ten koń co już w jednym chomą-

cie chodził; już on w każdym teraz, mości dobrodziejaszku, pójdzie.

— A dzieci?

— Troje wszystkiego! mości dobr...

Wtem otworzyły się drzwi z hałasem, wpadła Olesia, i stanąwszy przed Borkowskim:

— Niech się pan Borkowski darmo nie morduje, bo nic z tego nie będzie.

— A ty jak śmiesz! — krzyknęli razem rodzice.

— Pozwólta państwo, niech ta młoda krew, mości dobrodziejaszku, wykipi, rozmyśli...

— Nie rozmyślę się, nie pójdę za mąż. — I wypadła napowrót za drzwi.

Sfrasowali się Żabińscy. O Rolińskiego na zięcia bynajmniej im nie chodziło, ale zachowanie Olesi, jej oświadczenie, że za mąż nie pójdzie, dowodziło, że jej głupie myśli jeszcze z głowy nie wywietrzały. Rozniesie się oto

rzecz po świecie, i mogą się wszyscy konkurenci »odlisić«.

Kruk tymczasem przemyśliwał, jakimby sposobem mógł się do Olesi zbliżyć. Podobała mu się dziewczyna ogromnie. Z początku umizgał się do niej tak ot, ze zbytków, bo mu przez głowę nie przeszło, żeby szlachcianka, i to taka ładna i posażna, za niego wyjść mogła. Gdy jednak stwierdził, że i Olesia ma się ku niemu, zaświtała mu myśl śmiała, zdobyć ją sobie za żonę. Że Żabińscy będą oponować, to wiedział, ale skoro panna na prawdę będzie za nim...

Stary Kruk był jednym z najzamożniejszych gospodarzy w Bolechowie: miał gruntu z dawna 16 morgów, a przy separacyi serwitutów dostał 9, miał więc blizko włókę. Cała bieda, że było ośmioro dzieci. Dwie córki poszły za mąż za gospodarzy bolechowskich, ale na posagi jeszcze czekały; starszy

syn też się z biedną dziewczyną ożenił. Tak więc rodzice z sześciorgiem dzieci i dwoma wnuczkami w jednej chałupie siedzieli, kłócąc się o każdy kęs chleba, a gospodarka szła byle jak. Jeżeliby się Stasiek albo który młodszy bogato nie ożenił, przyszłoby osadę rozdzielić i na »ogrodników« zjechać.

Trafiały się Staśkowi partye, stręczono mu panny z 300, 400, nawet 600 rubli posagu. Ale jakoś dotąd do żadnej się przekonać nie mógł. Dopiero Żabinianka wpadła mu w oko i w serce. Posagu liczył że koło 1000 rubli dostanie, więc jużby miał zaraz na spłacenie przynajmniej połowy rodzeństwa. Resztę spłaciłby potem z dorobku.

Czy aby tylko Żabiński da pieniądze, jakby córka przeciw jego woli za chłopa wyszła? Może zrazu nie da, ale później musi dać. A choćby parę lat i biedę poklepać, z taką jak Olesia i to słodko będzie. Jeno trzeba się było do dzie-

wczyny dostać, podtrzymać jej miłość, rozkochać ją jeszcze lepiej. A tu przez całą zimę słowa z nią zamienić nie mógł.

Przyszło mu na myśl ofiarować swe usługi Żabińskiemu na nadchodzące wiosenne roboty w polu. Zrozumiał jednak, że z tego nic nie będzie, i zwrócił się do drugiego Żabińskiego, Jana, »dziedzicem« zwanego, najbogatszego szlachcica w Żabinie, właściciela domu z oszklonym gankiem, a sąsiada pana Klemensa. Pan Jan, mając kilka włók, potrzebował od samej wiosny ludzi. I rzeczywiście dał Krukowi rów między polami do poprawienia.

Pan Klemens, ujrzawszy Staśka kopiącego, wpadł w gniew wielki. Jan Żabiński był jego największym wrogiem: grunta Klemensa, na 68 działek, porozrzucanych po całym Żabinie, z których się składały, na 46-ciu graniczyły z gruntami »dziedzica«. Mogło to dowodzić,

jak i nazwisko wspólne, iż przed laty, czy przed wiekami, z jednego pnia Żabińskich, panów na całym Żabinie, sąsiedzi wyszli. Lecz obecnie dawało to, od pierwszej orki na wiosnę do ostatniej w jesieni, powód do ciągłych, nieuniknionych sporów, kłótni, wymyślań. Za nieboszczyka ojca przychodziło nieraz i do bójek. Teraz, dzięki statecznej naturze pana Klemensa, nienawiść, acz nieubłagana, przejawiała się, z małemi wyjątkami, milczeniem, odwracaniem się, zupełnem wzajemnem ignorowaniem.

Ani chwili nie wątpił pan Klemens, że Jan Żabiński na złość mu Kruka do wsi sprowadził. Pani Agnieszka zdanie jego w zupełności podzieliła, i oboje postanowili jeszcze ostrzej córki pilnować.

Na nic więc cała Staśka kombinacja! Bałamucił umyślnie przy rowie, włóczył się po wsi i dokoła, ale ostatecznie po tygodniu musiał robotę skoń-

czyć, nie przemówiwszy do Olesi ani słowa. Widział ją parę razy, przechodząc traktem, uśmiechnęli się do siebie, ale zawsze zdala i ukradkiem, bo przy świadkach.

Mieszkała w Żabinie u szlachcica jednego, krewniaka swego, staruszka, Paniczką przezywana, wdowa, bez dzieci, a pełniąca czynności »babki«, czyli wiejskiej akuszerki. Znał ją Kruk od dzieciństwa, bo kiedyś do Krukowej matki, potem do sióstr zamężnych przychodziła, a i do innych kobiet w Bolechowie. Wiedział, że się misji rozmaitych podejmuje. Do niej się udał, przedewszystkiem żądał przysięgi sekretu, następnie prosił, aby Żabiniankę Klemensównę namówiła przyjść nazajutrz o zachodzie słońca do olszyny nad rzekę. Stara z początku się wzdragała, chcąc więcej wytargować, w końcu wzięła rubla z góry, a drugiego wymówiła sobie po schadzce.

Z bijącem sercem czekał Stasiek w olszynie. Już się dobrze ciemno zrobiło, a Olesia nie przychodziła. W tem usłyszał szelest: ona! Nie wiedzieli jak się przywitać, ani od czego zacząć rozmowę. W końcu on się zdobył dziękować, że przyszła. Dziewczyna powtórzyła co jej Paniczka naopowiadała: że jak nie pójdzie, to straszne nieszczęścia spadną na nią i całą jej rodzinę. Zaśmiał się Stasiek: to mądra baba! Ot poprostu nie mógł dłużej bez Olesi wytrzymać, i tak sobie poradził.

— To nie pięknie, pójdę do domu! — udawała dziewczyna rozgniewaną.

Nie puścił jej, nalegał, aby nazajutrz znów przyszła. Ona tłómaczyła, jak jej pilnują, tembardziej od czasu, gdy się w Żabinie Stasiek pokazuje; i teraz musiała zełgać, że do ciotki poszła pierze drzeć. Umówili się dopiero na czwarty wieczór.

Drugi raz już im rozmowa z miejsca

gładko poszła. Olesia opowiedziała o swoich dwóch niedoszłych konkurentach. On wtedy odważył się zapytać:

— A żebym tak ja w konkury przyszedł do Olesi?

Spuściła rzęsy i milczała. Objął ją delikatnie, chcąc pocałować. Odsunęła go, podnosząc oczy z uśmiechem:

— Na to przyjdzie czas.

Słodko się Staśkowi zrobiło, po wszystkich żyłach mu błogość nadzwyczajna się rozlała. Mówił:

— Bo jakby mnie Olesia nie chciała, tobym przepadł, zginął. Nic dla mnie życie bez Olesi nie warte. Wiem, że ja prosty gospodarski syn, ale nie nędzarz, Bogu dzięki, a i robić potrafię. Nie na żonę, a prawdziwie na panią swoją ja Olesię chcę. Niech się świat cały przewróci, a musi być Olesia moja!

Milczała wciąż, pochylona ku niemu. Przytulił ją do piersi, a ona wybuchnęła płaczem.

— Czego płacze panna moja śliczna, Olesia moja?

— Staś wie, czego ja płaczę.

— Nie wiem, doprawdy, niech powie.

— Co my poczniem, jak ojce się uprą i nie zechcą.

— To i my się uprzem! Niech tylko Olesia chce, a postawim na swojem, jak-em Stanisław Kruk!

Podniosła głowę. Księżyc skrył się za chmurami, ale zbliska twarze swoje widzieli. Wydał się jej tak pięknym i tak silnym, że w sobie otuchę i moc poczuła wielką.

— Tak, musim postawić na swojem — rzekła stanowczo.

Tymczasem, aby się tem spokojniej, przynajmniej w olszynie, widywać, postanowili, że się Stasiek wcale a wcale w Żabinie nie będzie publicznie pokazywał. Bo rodziców zaczepiać jeszcze nie przyszła pora. Pierwej chciał Kruk od rodziny swej uzyskać, aby grunta

Wyższa Szkoła Pedagogiczna BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Kielcach

na niego przepisano, żeby jako właściciel o Olesię prosić.

Nie taił sobie, że nawet i wtedy niełatwo ją dostanie, zrazu napewne ani słyszeć nie będą starzy chcieli. Choć Bogiem a prawdą co on gorszego od Żabińskich. Ziemi niejeden szlachcic niema tyle co on będzie miał, a teraz po »separunku« to każdy gospodarz bolechowski pan, nikomu się kłaniać o nic nie potrzebuje. Przypominał sobie jednak scenę, której niedawno był świadkiem: Dworski gajowy bolechowski przydybał żabińskiego szlachcica Domańskiego, jak ścinał brzozę w pańskim lesie. Gdy go chciał fantować, Domański się siekierą zamierzył i jak krzyknie: »Wara odemnie ty chamie, bo ci łeb rozpłatam! Ja jak do twego pana pójdę, to na fortelu zasiądę i segaro palę, a ty kundlu u drzwi stoisz i milczysz!« I zamilkł gajowy, tylko z daleka groził, że sprawa do sądu pójdzie. Bo

i prawda, pan Zaorski, właściciel Bolechowa, szlachcie sąsiadom rękę podaje. Zawsze to oni widać z panów są, toż i gruntu im chłopskiego kupować nie wolno.

Swoją drogą już tak nieraz bywało, że się szlachcic z włościanką, albo gospodarz ze szlachcianką ożenił. A i to nieraz bywa, że dziewka przeciwko woli rodziców za mąż idzie. Ot zaraz Antkowi Patoce, prostemu parobkowi, nie chcieli Płatkówny dać, a musieli.

A żeby tak zrobić jak Antek? Jak chrzciny będą za pasem, muszą urządzić wesele! Tylko z Olesią, to może tak gładko nie pójdzie. A może jej otwarcie powiedzieć? Nie, nie można.

Myśl ta jednak tak weszła Krukowi w głowę, a przytem Olesia taka śliczna w następnym tygodniu przyszła do olszyny, że bezwiednie prawie zechciał jak Antek spróbować. Dziewczyna podniosła krzyk, wyrwała się, jeszcze go

pięścią pod oko zdzieliła, że aż go zamroczyło, i uciekła!

Źle! Wszystko się może zepsuło. Dalej nazajutrz o zmierzchu do Paniczki. Dwa tygodnie trwały układy, przepraszanie przez ambasadora w spódnicy, nareszcie dziewczyna, tęsknotą zdjęta, dała się przebłagać i przyszła znów nad rzekę. Powtórzył Stasiek swoje przeprosiny, zarzekał się, że złej myśli nijakiej nie miał, że to tak się samo zrobiło od kochania ogromnego, przysięgał że już nigdy nie będzie.

Potem ze smutkiem wyznał, że rodzice mu grunt odpisać zgodni, ale rodzeństwo się sprzeciwia, chcą mu dać tylko 3 morgi, a więcej, jak przyniesie pieniądze. Proponował więc, żeby Olesia czy to sama, czy to przez kogo ze swej »famelii« rodzicom objawiła niezmienną wolę iść tylko za niego, albo za żadnego: »inaczej, mówił, to się do śmierci po lasach, jak zbóje,

kryć będziem«. Jemu samemu zaś do Żabińskich się zwrócić, do niczego nie prowadziło, nakrzyczą tylko, że im córkę zbałamucił, że się w nią gwałtem wpiera, przyjdzie do publicznej awantury, która wszystko zgubi. Trzeba żeby rzecz wyszła niby od samej Olesi. Ona nie odmawiała wystąpić, ale ją lęk brał wielki.

Przez wiosnę i lato spotkali się parę razy jeszcze, ale bardzo krótko zawsze, bo to noce niedługie, a i ludzi wszędzie pełno, po miedzach, po paśnikach nocowują. Nastały żniwa. Wypadało Żabińskim żąć pszenicę pod granicą Bolechowa, umówili się więc młodzi w pobliskich krzakach w samo południe zobaczyć, bo o tej porze tam nikogo nie bywało, nawet pastuchów, od czasu jak bydło już na rżyska przeszło.

* * *

Biegnąc ze schadzki co tchu do domu, spodziewała się Olesia podejrzeń i wymówek; na złodzieju, jak to powiadają, czapka gore. Ale w chacie o czem innem w tej chwili myślano. Zastała dziewczyna wielką naradę: siedzą na ławkach rodzice, babka i Jusiek, wędrowny faktor z Goworowa. Gdy Olesia weszła, matka rzekła tylko:

— Weź obiad z kotliny i idź na dwór zjeść.

Jusiek kawał przed południem do Żabina nadciągnął, wóz za pozwoleniem pana Piotra Żabińskiego do stodoły jego wtoczył, konia spętanego w rów przy trakcie puścił i obchodził chaty po kolei: tu się długu kilkunastu rubli dopominał, tam służącą cichaczem odmówił, tam znów perkalik na kaftan lub chustkę na głowę zalecał, zachwalając cuda, jakie jeszcze ma na wozie. Do pana Klemensa nadszedł, gdy się do obiadu brali i od razu:

— Dzień dobry panie wójt i pani wójcina!

A gdy Żabińscy patrzyli, czy nie zwaryował, dodał:

— Ny, gdzie ja nie zajadę, tak ludzie powiedzą i dziwują się, co pan Żabiński do ten czas wójt nie jest.

— Co Jusiek głowę zawraca! — rzekł Żabiński.

— Ja zawracać? A mnie co za jenteres głowa zawracać? dla mnie lepiej niech una prosto stoi. Jak pan nie ma ochota, to wiadomo, pan nie będzie wójt.

— Gada oto trzy po trzy Jusiek — odezwała się Żabińska. — O takich rzeczach to się powoli, statecznie mówi.

— Ja akurat tego samego chciał powiadać.

— Tak to dobrze. Wicek, weź miskę, idź na dwór zjeść, a pamiętaj ozór trzymać, bo...

Gdy starsi zostali sami, Jusiek przed-

stawił długo i szeroko, jak, jeżdżąc po gminie, doszedł do przekonania, że pan Klemens Żabiński miałby szanse zostać na przyszłych wyborach wójtem, jako słynie za gospodarza wzorowego, pieniężnego, uczciwego i mądrego. Teraźniejszy wójt ponownie obranym nie będzie. Głównymi kandydatami są: ze szlachty Limański z Cisów, a z chłopów Wąsalski z Ponikwi (taki on Wąsalski, jak ja Juśkowski, dodał ironicznie żydek). Za Limańskim nie pójdzie żaden chłop, za Wąsalem żaden szlachcic. Zresztą jeden i drugi mają dużo zazdrosnych, tak że jakby się zręcznie postawiło kandydaturę pana Klemensa, wielu za nim da głosy, z obydwóch obozów, bo on nigdzie wrogów nie ma. A żeby się tak jeszcze trochę o chłopskie głosy postarać, wybór pewny!

Żabiński słuchał w milczeniu: zaskoczyła go niespodziewanie myśl zaszczytu, o jakim dotąd nigdy nie marzył. Pani

Agnieszka za to od razu wielkie przejęcie i zapał okazała. Dlaczego mąż jej nie miał być wójtem? Czy to on gorszy od drugiego? Czy im się to obojgu słusznie nie należy, po tylu latach twardej pracy? Wszystkie zawiści, ambicye, porywy miłości własnej, przez lata tłumione, trzymane na wodzy namiętnością zbierania pieniędzy, odezwały się, zbudzone, jak różdżką czarodziejską, niespodziewanym projektem Juśka i zawładnęły w jednej chwili duszą pani Klemensowej: już się widziała jako panią wójtową, zajeżdżającą w niedzielę przed kościół, wchodzącą w tłum rozstępujący się przed nią!

Aż ją Jusiek musiał mitygować, że to nie taka łatwa rzecz zostać wójtem: zachodu wpierw dużo, a i ekspensu, dodał.

To ostatnie słowo wywołało milczenie, z którego korzystając babka, odezwała się:

— Nie słuchajta, dzieci, tego okpisa. On was obełguje, a choćby Klemens i miał wójtem ostać, to jeszcze gorzej; gospodarka pójdzie na marne, grosz się roz...

— Co matka gada! — przerwała Klemensowa. — Toż i my nie takie głupie, namyślim się dobrze wprzódy nim co zaryzykujem, ale pogadać nie zaszkodzi nikomu.

Jusiek znów zabrał głos. Gadał i gadał, więcej godzinę, bo pan Klemens, choć i jemu myśl zostania wójtem pod serce zajechała, nie mógł uwierzyć, żeby był tak wielkim człowiekiem, luminarzem dotychczas zapoznanym, i żeby miał rzeczywiste szanse.

Dał się nakoniec Jaśkowi i żonie przekonać.

— Spróbować można — orzekł.

Żyd całą kampanię wyborczą brał na siebie, a czasu nie było do stracenia, bo wybory miały nastąpić niebawem

po żniwach, za miesiąc. Jednak latać po gminie i ozorem mleć, to nie wystarczało: tylko kto smaruje, ten jedzie. Główna rzecz smarowidło. Nie chciał z pana Żabińskiego korzystać, żądał tylko, żeby mu zwrócił koszta konieczne; a te będą niemałe: tu nie w jednem miejscu trza dać, żeby od góry do dołu poszło jak po maśle. Ostatecznie zażądał 500 rubli.

Podskoczyli wszyscy, babka bąknęła: oszaleli! i wyszła, nie chcąc słuchać więcej.

— Jak tak, to niema o czem gadać, — zdecydował, wstając i biorąc za czapkę, Żabiński.

— Co? Ja myślał, co mnie pan od syrca podziękuje, a pan... To pan nie rozumie, co to jest być wójt? To pan odbije w jednego kwartału!

— No, no, ma racyę matka, jeszcze się nikt na wójtostwie nie zbogacił.

— Bo głupie ludzie!

— Ja też szachrować nie chcę.

— Chto myśli o szachrajstwo? Jakie szachrajstwo? Nu, a choćby pan i dochód z tego nie chciał mieć, to hunor a sława to nic nie stoi? Na ekspens jest pensye tysiąc złotych, i stójki wszystkie, a drugie dochody też nie brakuje, aj waj! A poco kuždenby chciał być wójt? Na co Limański, też bogacz i sławny, a un chce być wójt? Połowa majątek unby na to dał, a pan Żabiński te marne 500 ruble szkoduje. Co dla pana 500 ruble? To tyle co dla mnie jednego feniga!

— Pięćset rubli to Jusiek żartem powiedział — rzekła Żabińska. — Naprawdę, to sto rubli mąż odżałuje, już ja będę w tem.

— Jak państwo nie chcą, to nie. A nie trzeba perkal piękny, mam zagraniczny, fajn. Nie, to trza jechać dalej.

— Czekaj, żydzie, toć masz czas —

fuknął pan Klemens. — Mnie gorzej pilno, bo pszenica czeka, a nie uciekam.

— No, sto dwadzieścia damy, zgoda Jusiek?

Poczęli się targować, żyd powoli spuszczał, Żabińscy po rublu, potem po pół postępowali. Ugodzili się wreszcie na 185 rubli.

— Tylko — dodał Jusiek, jeden jeszcze jest sęk. Ten Wąsal, to un ma swoje łapacze, co jemu głosy po wsiów łapają. Te łapacze jemu mus odkupować.

— Nic więcej nie dam, jakem szlachcic.

— To nic nie będzie. Ny, niech się pan nie boi. Jeden jest najgorszy. Ten jeden jak un będzie nasz, to wszystko nasze.

— To już Juśka rzecz go załatwić.

— Jak to moje rzecz? Ja w te chwile dopiero rychtyk o nim pomyślił. Jak my tamte zgode robili, to o niego nie

było żadne gadke. Można i przez niemu spróbować, ale na co ryzykować? Un nie drogo weźmie, to dobry człowiek.

— Siła naprzykład?

— Abo ja wiem. Zgadzam jemu, to państwo powiadam.

— To my lepiej jego sami zgodzim.

— Un tu ma przychodzić? Fe!

— To niech Jusiek radzi. Od czego Jusiek jest?

— Kiedy państwo takie bojące, to ja co powiem: dziś poniedziałek, niech pan Żabiński przyjadzie we czwartek do miasto na targ, to przed wieczór tamten u mnie będzie.

— Zgoda. Tylko jak drogo będzie chciał, to wszystko rzucę.

— Git, git, to już moje głowe.

— No, to pójdziem do roboty, i tak się niemało czasu zmarnowało.

— Nu, a nasz kuntrakt?

— Toć jest zgoda.

— A pieniądzów?

— To myślisz, mądralo, co ci je z góry dam? Niedoczekanie twoje.

— Jak pan Żabiński chce. Nie buło żadne umowe, my nic nie gadali.

— Co Jusiek znów plecie?

— Ja plecię? To pan chce, cobym ja ze swoja kieszeń pana wójta zrobiuł? Ja bardzo panu Żabińskiemu lubię, no jeszcze nie tyle.

Znów się zaczęły dyskusje bez końca. Już słońce kawał zjechało ku zachodowi, gdy stanęło na tem, że połowę pieniędzy Żabiński da z góry, resztę zaś gdy będzie obrany wójtem. Ponieważ jednak Żabiński nie chciał się zobowiązywać póki nie wiedział, ile zażąda ów tajemniczy łapacz, zgodził się żyd ostateczną umowę zawrzeć i zaliczkę wziąć u siebie we czwartek.

— A może jeszcze się rozmyślimy i wyrzekniem się wszystkiego — dodawał w duchu p. Klemens, który ka-

żdą myśl nową, mianowicie tak kosztowną, musiał powoli przetrawić, i trzymał się zasady: co nagle, to po dyable. Tu jednak mus było się spieszyć, bo czas był krótki.

Wieczorem długo Żabińscy zasnąć nie mogli. Gdy tak o wójtostwie rozmyślali, pan Klemens w stodole na sianie, pani Agnieszka w łóżku, przyszedł jej na myśl Stasiek Kruk: żeby go tak przez Olesię zyskać sprawie? Toć w Bolechowie całą wieś ma krewniaków albo kumów. Za miesiąc go się znów kantem puści, a tak prędko przecie się nic złego nie stanie... Niebezpieczne to trochę, bo dziewczyna i tak w nim zadurzona, ale że raz z Krukiem pogada, to »bajki«.

W niedzielę rano opowiedziała córce w wielkim sekrecie, że jej ojca chcą ludzie wójtem zrobić, i że tylko chodzi o głosy chłopów. Gdyby więc spotkała się kiedy przypadkiem ze Staśkiem, to

po znajomości może mu o tem wspomnieć.

Uradowała się Olesia. Zaraz się, za zgodą rodziców, wybrała pieszo do kościoła. Przechodząc przez Bolechów, ujrzała za płotem Staśka, czatującego na jej przejazd. W dziesięć minut potem szli razem traktem. Kruk przyjął z zapałem wiadomość o kandydaturze ojca Olesi na wójta: widać Żabińscy przyznawali mu znaczenie w gminie, a jak dobrze pójdzie, zyska sobie ich uznanie i wdzięczność, i szanse małżeństwa się znacznie powiększą. Olesia podzielała jego nadzieje, i oboje pełni otuchy u bramy kościelnej stanęli.

Żabińskim zaraz dnia tego w oczy leźć nie uznał Kruk za stosowne. Natomiast po powrocie do wsi udał się niezwłocznie do szwagra swego, Marcela Minuty, zagadać o wyborze Żabińskiego. Ledwo zaczął, Minuta z góry:

— Głupiś, już ci szlachta całkiem

głowę zawrócili, wiedzą, co im się do dziewuchy masz, to chcą skorzystać i na swój wiatrak z tego wiater zrobić.

Zaprotestował Stasiek, dowodził, że się o kandydaturze Żabińskiego z boku dowiedział, a że to człowiek stateczny, na wójta prawdziwie zdatny...

— Głupiś! powiadam. Jak on ci bez wójtostwa córki nie da, to jak wójtem ostanie, w dubelt nie da! Wójtówna, ho, ho, to chyba za księcie jakie albo hrabię pójdzie! Niech Żabiński ani jednego głosu na wyborach nie ma! Mało: niech mu grad zboże wytnie, liwentarz na pomór wyzdycha, ogień budynki spali, niech w dziady pójdzie, to ci może córkę da, a inaczej bratku nie!

Strasznie się strapił Kruk. Pojął, że szwagier miał racyę. Postanowił nic a nic do wyborów się nie mieszać, a Olesi naturalnie mówić, że jak może agituje.

Idąc wszakże na schadzkę w kilka

dni potem, zmienił zdanie: nie w smak mu było dziewczynie łgać, tem bardziej, że przecież ona z nim trzymała. Olesia też przyznała słuszność wywodom Minuty; śmiali się oboje z własnej naiwności. Ponieważ jednak rodzicom już opowiedziała zapał z jakim Stasiek przyobiecał starać się o głosy, proponowała, aby Kruk skorzystał z ich usposobienia i przyszedł którego dnia w odwiedziny.

W dzień umówiony z Juśkiem, Żabiński, mając właśnie sprzątać koniczynę, ociągał się jechać. Ale mu żona spokoju nie dała, aż go wyprawiła. Wrócił późno wieczorem, w złym humorze, i opowiedział, że onym tajemniczym łapaczem był dawny strażnik ziemski, Wróbel Michał z Rabęd: żądał 300 rubli, po długich targach spuścił na 100. Wszystko co miał przy sobie musiał im pan Klemens oddać, na co przy-

wiózł kwit następujący, zredagowany pod jego okiem przez Juśka i Wróbla:

»Mi potpiszane Jusiek Czytfar i Michał Wrublesky ot pan Klemens Zabiensky połuczyli szuma ruble 62, a 40 ruble zaplaczy bez tigodnia, a 50 ruble na 15 santiabra, a 133 na drugego dnia pośle wibory na wojta. I tego dwa sta i osiemdzieszont i pienc ruble.

— Alem się namordował! — narzekał Żabiński. — Obces odemnie tysiąc złotych psiejuchy zaraz dzisiaj chciały. Alem się nie dał, bom i nie wziął ze sobą. Ten papier w dubelt musieli przepisać, i tu i tu markę na 5 złotych, groszy dziesięć przylepiłem; z takiemi złodziejami kto wie... A płacąc na raty, jakbym się przekonał, że nic nie robią, to im więcej nie dam.

Nazajutrz wieczorem zawitał do Żabińskich Kruk. Skrzywiła się zrazu pani Agnieszka, a i pan Klemens się najeżył. Ale trudno, do wyborów już tylko

kilkanaście dni. O ile im wewnętrzne wzburzenie pozwalało, przyjęli chłopa dyplomatycznie. Zasiadłszy sami, prosili go też siedzieć, pytali się co porabia, wreszcie pani Żabińska napomknęła o wyborach.

— A no, co i raz więcej słychać, co pan Żabiński ma być wybrany, — odrzekł zerkając na Olesię, która siedziała milcząco na uboczu.

— Tak pono ludzie gadają. My tam o niczem nie wiemy, ani się staramy. Wiadomo, że kto swoją gospodarkę poprowadzić potrafił, to i gminą jak się należy zarządzi.

— Ma się rozumieć. Najgorszy ten Limański.

— A Wąsal?

— Bajki! W Bolechowie już on głosy stracił. Krukowski żaden za nim nie pójdzie, tylko za panem Żabińskim, a i Birkowscy, i Piątkowscy, i Minutowscy, cała wieś!

— Doprawdy?

— Jak powiadam. Będzie pan wójtem, jak 2 a 2 cztery.

Tu umyślił Stasiek wtrącić wzmiankę o morgach ojca i rzekł:

— A nie sprzedałby pan czasem z parę korcy pszenicy do siewu?

— A to potrzebujeta?

— Tak, chcieliśwa pięknego nasienia zadobyć, a wiadomo, u pana sławna pszenica. Mawa tera duży wysiew, po separunku zrobiło się gruntu bez mała włóka.

— A nie dzieli was rodzic?

— Nie, jeden musi całą gospodarkę objąć.

Zapanowało milczenie, które przerwała Żabińska:

— No, pójdziem chyba spać, trza rano wstać.

— A po pszenicę można przyjechać?

— Można. Albo lepiej będę jechał

na targ we czwartek, to ją wam po drodze odstawię. A siła chceta?

— Co się pan Żabiński ma odstawą fatygować.

— Mała fatyga.

— A cena jaka będzie?

— Pół siodma rubla.

— Dobrze, powiem staremu, i dam znać, jak się zgodzi. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków amen.

Całe szczęście, że już idąc ku drzwiom spotkał Stasiek przeciągłe spojrzenie Olesi, które go po nie bardzo fortunnej wizycie pocieszyło.

Pan Klemens mruknął do żony:

— Nie potrzebnieśwa się z tym chamem znów zadawali, przypomni się dziewczynie, i tyle.

— No, no, ja jemu przypomnę, tylo się wybory odbędą!

* * *

Na wybory do gminy sam się pan Klemens udał. Miała straszną ochotę i żona, ale babie nie wypadało. Przez dwa tygodnie po układzie z Juśkiem, gdzie się ruszyli, rzeczywiście o kandydaturze Żabińskiego słyszeli. Doręczył też Żabiński żydowi 40 i 50 rubli, za pokwitowaniem na tamtym papierze. W ostatnim atoli tygodniu znów tylko o Limańskim i Wąsalskim mówiono. Tak, że z rzadką miną pan Klemens pojechał.

Jeszcze słońce wysoko stało, gdy się najpierwsza na trakcie ukazała z powrotem bryka jego.

— To dobry znak, co się spieszy — pomyślała Żabińska — pilno mu z dobrą nowiną.

Aliści skoro się wehikuł zbliżył, po zgnębionej twarzy małżonka zmiarkowała że źle.

— No i co? — spytała gorączkowo.

On tylko machnął ręką.

Okazało się, że na niego nikt nie głosował. Chłopstwo poszło ławą za Wąsalem, i ten też wybrany został. Te chamy łajdaki, zdrajcy, na swojem postawili! Na dobitkę, gdy już Żabiński do wolantu siadał, podleciał do niego Jusiek i powiedział, że na te 133 ruble to oni z Wróblem mogą parę dni poczekać, ale że zawsze w tym miesiącu im te pieniądze koniecznie potrzebne. Chciał go Żabiński przez łeb kijem zdzielić, ale nie mógł dostać, a żyd groził, że sprawę do sądu oddadzą, bo rewers jasny jak słońce: po wyborach ma Żabiński 133 ruble zapłacić.

— Toć wygrać nie mogą!

— A kto ich tam wie! Wszystko przepadło, i pieniędzy kupa, i na pośmiewisko się człek wystawił. Żyd bo żyd, on od tego jest, ale te chamy, ten Wróbel, i ten Kruk! To szubieniczniki!

Olesia aż uciekła, nie chcąc słuchać.

Tegoż wieczora spotkała się ze Staśkiem. On był zdania, że teraz, korzystając z upokorzenia pana Żabińskiego, pora zagadać o ożenku. Olesia zaś sądziła, że trzeba czekać, aż przeminie złość rodziców, po części na Kruka skierowana. Ostatecznie nic się młodym horyzont nie rozjaśnił, przeciwnie, i ze smutkiem się rozstali.

W kilka dni do Żabińskich zjechał długo niewidziany brat Damazy. Co do wójtostwa, dowodził, że choć Klemens nie miał głosów, to, że o nim gadano, już go u ludzi podniosło, i za trzy lata kandydatura jego sama wypłynie. Co do rewersu, wyraził obawę, że go przyjdzie zapłacić, bo jest głupio zredagowany. Ale głównie przyjechał w kwestyi nowej partyi, jaka się Olesi trafiała: Laskowski, szlachcic z Daniszewa, właściciel 3 włók, dworku z filarami, pary koni, pary wołów, 6 krów, i t. d. Widział on Olesię w Goworowie i pro-

sił pana Damazego, aby mu swatem był. Ten nie byłby się już chciał swatów podejmować, żeby nie to, że okazya jedyna, nadzwyczajna, bo kawaler nie tylko bogaty, ale taki, że jak go dziewczyna zobaczy, rozmiłować się musi, choćby z lodu była!

Ucieszyli się Żabińscy wielce, i na pierwszą niedzielę brata z konkurentem zamówili. Co do Olesi, brali na siebie, że się przyzwoicie zachowa. Umyślili jednak nic jej zawczasu nie mówić, bo kiedyć młodzieniec taki piękny, niech go nieuprzedzona zobaczy.

Prezentacya odbyła się pod kościołem, i prosząc do siebie na popołudniu brata, Żabińscy Laskowskiego też, niby od niechcenia, zaprosili.

Rzeczywiście mężczyzna był okazały. Wysoki, barczysty, na twarzy blady, wąs miał suty, czarny, oko niebieskie, ale tak ciemne, że na czarne wyglądało. Przyznać to musiała i Olesia, że

kawaler jak rzadko, jak pan prawdziwy. Przyszło jej zaraz na myśl, że to konkurent znów będzie, ale ostatecznie, póki jej nikt nie zaczepił, bronić się nie potrzebowała, tylko milczeć postanowiła, nie zwracać na przybysza uwagi i tak mu dać poznać, że jej nie zaimponował.

Rodzice, aczkolwiek tem postępowaniem zmartwieni, żadnego jej wyrzutu nie czynili, przekonani, że koniec końców w Laskowskim zakochać się musi, jego zaś objaśnili, że córka zawsze taka nieśmiała i bojaźliwa przy obcych.

Widząc się z Krukiem, Olesia mu nic o wizycie tej nie wspominała, bo pocóż go trapić? Tymczasem w następny czwartek, gdy wypadło święto, znów się Laskowski zjawił. Tym razem zostawiono go kawał czasu sam na sam z dziewczyną. Pewny siebie szlachcic, wobec panny zimnej i milczącej stracił cały koncept, i gdy na

pytania jego o gospodarstwie, o gustach jej, ledwo półsłówkami odpowiadała, zostawił ją i poszedł do starszych. Rozmawiał z nimi żywo i długo przy zamkniętych drzwiach, potem nie czekając wieczora odjechał, a Żabińscy dopiero zabrali się do córki.

Matka najsamprzód zrobiła jej uwagę, że, dochodząc dwudziestego roku życia, pora jej wyjść za mąż. Następnie przypomniała jej dwóch odrzuconych konkurentów, przyznała, że jeden był brzydki, drugi niemłody. Ale gdyby teraz na ten przykład, taki pan Laskowski zechciał rodziców o nią prosić, to przeciwko temu chyba nic powiedzieć nie może, bo i bogaty, i młody, i piękny: niema w całej Polsce panny, któraby z radością za niego nie poszła. Wielki to honor dla całej famelii, że taki się do Olesi zaleca i za małżonkę ją chce.

Dziewczyna wciąż milczała.

— No, to dobrze, coś nareszcie do rozumu przyszła — orzekła matka.

Zawahała się chwilę jeszcze Olesia, zaczerwieniła, i nie podnosząc oczów, odpowiedziała:

— Nie pójdę za Laskowskiego.

— A to dlaczego?

Z zarumienionej stała się dziewczyna bladą jak chusta, oddychała krótko, powieki i usta jej drgały, wreszcie głosem urywanym lecz stanowczym rzekła:

— Dlatego, że nie pójdę za nijakiego jenszego, jeno za Stanisława Kruka.

Zerwali się rodzice.

— A ty niecnoto, córko wyrodzona, to ty tak starych szanujesz, do grobu nas chcesz wpędzić? Tobie szlacheckiej córce, za takiego chama, między chłopy iść? A przykazania Boskiego nie znasz: czcij ojca twego i matkę twoją. Ale niedoczekanie twoje, pokażem ci co to wola ojcowska. Zaraz w niedzielę

pierwsza zapowiedź wyjdzie, i przed adwentem musisz być Laskowskiego!

Krzyczeli, rzucali się, odgrażali długo. Olesia siedziała na ławce, słowa już nie wymówiła, ani drgnęła. Nie spodziewała się takiej wojny, wiedziała, że będzie hałas, ale myślała, że przejdzie jak już dwa razy. Przyszła jej na myśl Marysia Żurawszczanka, tak samo przez rodziców do wyjścia za mąż zmuszona. Była mocno zdecydowana nie dać się, ale jak się starzy uwezmą, a Laskowski zechce ją z przymusu wziąć, to niewiadomo... W każdym razie za Staśka jej wyjść nie dadzą, więc w najlepszym razie zostanie starą panną. Rozpacz ją brała. Żeby choć Kruka mogła zaraz zobaczyć, tymczasem nie miała się z nim widzieć aż za pięć dni. Całą noc nie spała, rano pobiegła do Paniczki, ze łzami błagała, aby jej Staśka na wieczór do olszyny sprowadziła.

Po zachodzie słońca, nie dając już

nawet żadnego pretekstu w domu, pobiegła nad rzekę. Stasiek już czekał. Rzuciła mu się z płaczem w objęcia, opowiedziała jednym tchem wszystko. Chłopiec długo milczał, wzrok jego stał się dziwnym, błędnym, aż głosem zmienionym wyrzekł:

— A tak i będziesz moja!

I jakby nieprzytomny a straszny, chwycił ją wpół, rzucił o ziemię. Rozdarł powietrze krzyk dziewczyny, jak gołąb szarpany przez jastrzębia ciskała się; daremnie wytężał siły i zwinność, w rozpaczliwym wysiłku wyrwała mu się, poczęła uciekać, dopędził ją, zatrzymał, zziajany jął błagać:

— Olesiu, Olesiu moja, jedyna moja, nie uciekaj, nie bój się, jam szalony, daruj, ale ja cię nie puszczę, ty tamtego być nie możesz, chodź ze mną, do domu mego, do nas, nie dam cię nikomu, musisz być moja!

— Nie, Stasiu, tak nie można, grzech,

grzech śmiertelny. Żeby mnie na kawałki rąbali, nie pójdę za tamtego, ani za żadnego, przysięgam ci, ale tak nie można!

— A ty hultaju, ty zbóju, i ty psiawiaro, łajdaczko! — rozległ się tuż głos Żabińskiej.

Odskoczyli od siebie. Olesia rzuciła się w krzaki, Kruk się zawahał i w drugą stronę znikł.

Wpadłszy do domu za córką, Żabińska w najwyższem uniesieniu powtórzyła ojcu, jak, zaintrygowana gdzie się podziała Olesia, wyszła na gumno; jak jej Wicek powiedział śmiejąc się, że pewnie po swojemu nad rzekę poszła do kawalera; jak ją mrowie przeszło; jak biegnąc do olszyny, usłyszała z dala krzyk dziewczyny; co wreszcie mówili, gdy dobiegła. Żabiński złapał kija, tym razem nie poprzestał na groźbie: po plecach, po rękach, bił aż kij odskakiwał.

Całe szczęście, że nie kto inny, a tylko matka słyszała, co ona z tym łajdakiem chamem wyrabiała! Wickowi pogrożono, że jak choć parę o tem wszystkiem z gęby puści, to dziesięć razy tyle kijów dostanie co siostra. Następnie zdecydowano, że wesele z Laskowskim odbędzie się jak najprędzej, przed adwentem koniecznie.

Olesia tak była przygnębioną, że stała się zupełnie bierną. W kilka dni przyjechał Laskowski, ale już tylko ze starymi rozmawiał. Czy się w Olesi tak rozmiłował, że ją w jakikolwiekbądź sposób mieć chciał, czy też go pieniądze ciągnęły, bo wyjął pan Klemens z pod podłogi w izbie i pokazał mu dwadzieścia storubluwek.

Matka z babką zabrały się szykować wyprawę.

* * *

Jarmark w Goworowie. Na rynku zajętym przez przekupniów, sprzedających na straganach wszystko, co tylko wymarzyć można, od chomąt do garnków, od kiełbasek do butów, ba, nawet już białe jak mleko kożuchy na zimę, nie mieszczą się wozy, i zalegają het poza miasteczko drogi i pola.

Wązkiem przejściem między wozami idzie powoli Stanisław Kruk. Blady jest i ponury. Nagle drgnął, jasne oczy mu się zaiskrzyły, szczęki ściągnęły: na kilkanaście kroków przed nim stoi z papierosem w ustach mężczyzna wysoki, barczysty, o ciemnych oczach i czarnym wąsie: Jan Laskowski. Spotyka się ich wzrok. Szlachcic pociąga papierosa, obojętnie spogląda w bok. Chłop dalej powoli kroczy. Dochodzi do przyszłego męża Olesi, a gdy ten wciąż udaje, że nie wie co on zacz, i przejście nieruchomy tamuje, mijając go

ociera się oń Kruk, spycha go z drogi swej.

— Cham! — mruczy brunet przez zęby.

— Zbój! — odrzecze blondyn.

Krzyżują się znów ich źrenice, w tem Kruk kijem, który trzyma w prawicy, wymierza cios wrogowi. Ten się szybko jedną ręką zasłania, drugą pięścią chce uderzyć Staśka, ale już nowe uderzenie kijem dostaje. Odskakuje w tył, chwyta na wozie leżący nowy szpadel i z całej siły godzi nim w napastnika.

Chwieje się Kruk, pada. Krew z głowy bucha, biegną ludzie, policja. Unoszą rannego. Wszyscy zaświadczają, że to on bójkę zaczął, i że Laskowski tylko się bronił.

Klemensów Żabińskich na jarmarku niema, ale inna szlachta z Żabina jest, i tegoż wieczora cała wieś tylko o zajściu gwarzy. Jedni mówią, że Kruk zabity, drudzy że żyje, ale ledwo.

Olesia słyszy, za gardło ją coś ściska, w głowie się kołuje. Czeka nocy, aż wszyscy śpią, odziewa się szybko, wychodzi cichaczem i biegnie.

Biegnie traktem do Bolechowa. Opadają ją psy, nie zważa, że jej spódnicę szarpią, dochodzi do chaty Kruków, dobija się, budzi całą rodzinę, pyta o Staśka. »Wzięty prosto z jarmarku do Ostrołęki do szpitala«. Chce odejść, ale jej tak nie puszczają, i wpadają na nią rodzice, bracia, siostry, wymyślają, złorzeczą, że to przez nią syn i brat zabity. Wyrywa im się w końcu, biegnie dalej... do miasta, gdzie szpital.

Pędzi godzinę, drugą, mija wieś za wsią, niepomna czasu ni przestrzeni. Wreszcie, bez tchu, przylata pod miasto. Ciemno jeszcze. Siada w rowie przy szosie i czeka dnia. Drży teraz od zimna, ale i tego nie czuje. Na wschodzie biało się robi, potem czerwono. Pyta się o szpital, pokazują jej

duży, żółty budynek. Dobija się do drzwi zamkniętych, nikt nie odpowiada. Siada na kamiennych schodkach i czeka znowu. Czeka długo, długo strasznie.

Nareszcie w zamku zgrzyta klucz. Zrywa się Olesia: we drzwiach ukazuje się mężczyzna brodaty, rozczochrany.

— Żyje Stanisław Kruk?

— Jaki Kruk?

— Wczoraj przywieziony z Gowo-rowa, z jarmarku.

— Aha! ten z rozłupaną głową! Nie, moja dziewczyno; był tu ojciec wieczorem: ledwo odszedł, zara biedak umarł.

Jeden jęk tylko wyrywa się z piersi dziewczyny, ale tak głęboki, przerażający, że nawet temu posługaczowi, do umierających nędzarzy przywykłemu, żal się jej robi. Ona zawraca, i bez łzy, bez słowa, kroczy ulicą, wychodzi za miasto, skręca w lewo, dochodzi przez

łączkę do Narwi, postępuje brzegiem kilkadziesiąt kroków, wypatrując głębi. Tu staje, żegna się, wznosi oczy ku niebu, i pada w nurty.

* * *

OBORA ZARODOWA
W KACZYNOWIE

W dwa nieduże lecz tłuste kasztanki zaprzężona, toczy się bryczka dróżką między zbożami. To pan Józef Zabielski jedzie od kolei do domu. Jedzie i wyobraża sobie radość żony, gdy jej opowie jak mu się w Warszawie powiodło. Pierwszy raz odważył się wysłać na wystawę cztery buchajki i dostał list pochwalny! Nie dość na tem, wszystkie cztery sprzedał, i to po sto dziesięć rubli, sztuka w sztukę!

— Istne *coup de théâtre!* — powiedział głośno hrabia, który przecie tylko o pięć mil mieszka, i nic a nic o Kaczynowskiej oborze nie wiedział. Oho! teraz już wiedzą o niej w całym kraju!

Dalej, w całej Europie, gdzie tylko ludzie gazety czytają.

I wspomina sobie pan Józef skromne początki: byczka i cztery jałowice holenderskie, darowane przez stryja żony, z okazji urodzin pierwszego synka. Przy córeczce znowu dwie jałówki. Przy drugiej córce już nic nie dał. A mógł, stary wdowiec bezdzietny. Ale mógł też i od początku nic nie dać. Dobrze się i tak znalazł, toć bez niegoby nigdy nie było zarodowej obory w Kaczynowie. W pięć lat już prawie stryjowską zakasowała!

— Jaka też Zosia będzie uradowana! Poczciwa kobietka! Niech się tam drudzy żenią z milionerkami lub z pięknościami! Takiej jak Zosia niema drugiej. To codzienne wglądanie we wszystko, to oko nad każdem cielęciem, od ulęgnięcia, aż póki się krową lub buhajem stanie, ta drobiazgowość w prowadzeniu nietylko metryk, ale udojów każdej

krowy... na to trzeba być taką zawołaną gospodynią, a przytem drobiazgową, jak Zosia.

To ona te rejestra pozaprowadzała, na wzór tego, co widziała u stryja. Całe szczęście, że Zabielski te szpargały, też za jej radą, wziął ze sobą. Ogromnie się to sędziom podobało. Bez tego kto wie...

Słusznie też dochód z mleka od początku samego żonie zostawił. No, ale pieniądze za byczki, to co innego. Da jednak Zosi procent jakiś, naturalnie.

— Ile? To się zobaczy.

Im bliżej Kaczynowa, tem pilniej Zabielskiemu. Nie widzi na prawo i na lewo żyt ciepłym czerwcowym wiatrem kołysanych, nie widzi pszenicy o kłosach sztywnych jeszcze i kwiatem obsypanych, ani buraków opodal zielonemi rzędami łan cały zalegających.

Kilka minut jeszcze, a bryczka zajeżdża przed obszerny ganek dzikiem

winem obrosły. Cała rodzina czeka, pani domu i troje dzieci. Wita się pan Józef, całuje, ściska, a równocześnie swe tryumfy opowiada. I zaraz wszyscy na ganku do gotowego podwieczorku zasiadają.

Dzieci milczą i tylko się w ojca wpatrują: pewnie silą się odgadnąć, co też im z Warszawy przywiózł, a że go w złotym humorze widzą, cuda sobie wróżą. Pani Zofia obdziela je chlebem z masłem i słucha w skupieniu opowiadań męża, uśmiecha się, lecz nie okazuje tego upojenia, na które liczył. Dodaje więc pan Józef wciąż nowe szczegóły, przytacza powinszowania jakie odbierał, *coup de théâtre* hrabiego, »byczy efekt« jaki zrobiły rejestra obory, tłok amatorów na buhajki, zamówienia na przyszłość... Ona się dziwuje, wyraża słowami radość swą, ale cień z twarzy jej nie schodzi. Jakby unikała wzroku męża, a gdy Zabielski spojrzenie

jej podchwyci, zgaduje w niem smutek, niepewność jakąś. Dopytuje się więc, nalega, czy się co złego w domu lub w gospodarstwie nie stało; może co zdechło, może właśnie w oborze?... Ona na te słowa zdaje się mieszać więcej, coś, jakby rumieniec twarz jej oblewał; odpowiada prędko:

— Nie, nie, wszystko dobrze — i wstaje, odwraca się, na służącą woła.

— Coś jej jest, — orzeka w sobie Zabielski.

Ale przypomina sobie, że od czasu do czasu tak bywa, i zawsze się samo rozchodzi. Zresztą bywa szczególnie w takich okolicznościach, że woli o tem nie myśleć. Tym razem przecież dalibóg nie ma Pan Józef nic na sumieniu! Może ona podejrzewa, że się w Warszawie bałamucił? Otóż właśnie ani mu to przez myśl nie przeszło. Miałby też co w Warszawie robić, przepłacać to samo, co...

O zachodzie słońca, gdy z pastwi-

ska krowy wracają, wychodzi Zabielski naprzeciw nich na wygon. Zdaleka wpatruje się z lubością w różnobarwną gromadę wolnym krokiem nadciągającą. Tak, jeszcze różnobarwną. Dopiero koło dwudziestu się dochował czystych holenderek, lub mieszańców czarno-srokatych. Drugie tyle się jeszcze kołacze z dawnej obory, czerwonych, siwych, tarantowatych i t. p. Nieraz Zabielskiego ta powolność korciła, lecz trudno od razu z sześciu krów przyjść do trzydziestu kilku! Czy że starsze są, czy że w oborze oddzielnie stoją, czy też że swą rodową niższość czują, ale idą owe chłopki na pośladku, od holenderskich arystokratek na uboczu.

Wszystkie czarno srokate, o gładkiej szerści i lekkich główkach, przeprowadza rozkosznemi oczami pan Józef. Idą majestatycznie, wgięte pod ciężarem wypchanych brzuchów, kołysząc się z nogi na nogę, porykując przeciągle i cien-

kiemi rogami w lewo i w prawo, jak podwójną batutą, takt bijąc.

Gdy przeszły, rzecze wesoło do starego pasterza za niemi postępującego:

— No, Marcinie, wiesz, wszystkie byczki sprzedałem. I dobrze wziąłem, lepiej jak po sto rubli.

— A to Bogu dzięki! — odpowiada chłop całując dziedzica w rękę.

— A tu wszystko dobrze? Trawa się po deszczu poprawiła?

— Poprawiła się galancie.

— To i mleka przybyć musiało?

— A przypuściły walnego. Pewnie więcej sześćdziesiąt garncy Berek wziąn zara w poniedziałek. Jeno wczoraj już tyle nie było bez tę czerwoną. W kużden udój to ona przez mała dwa garnce dać potrafiła.

— A cóż się z nią stało?

— Dyć pani oddała Bartniczce do Dzbenina.

— Kiedy?

Nagle zmieszał się pan Józef i poprawił:

— Aa, wiem, wiem, tak! No, stare krówsko!

— Stare bo stare — mruknął Marcin odchodząc, — a nie takie i stare! A stara niejedna bywa od młodej lepsza.

Zabielskiemu żar uderzył do głowy. Żona dała krowę Bartniczce! Co to jest? Jak to może być? Musiała baba w jego nieobecności przyjść, narobić o córkę hałasu, lamentu... A to łajdaki, rozbójniki! Żeby do niego były przyszły... ale do żony! do Zosi! Djabli wszyscy mu nadali dziewczynę bałamucić! Tak się, zdawało, gładko jej pozbył, a tu masz tobie!... Akurat się daty zgadzają, było to w sam siew: wrzesień, październik, listopad... tak, akurat... to *casus* dopiero! Ale też Zosia, żeby w ten sposób! Oto i jej mina strapiona. Żeby też jednak tak publicznie...! Skąd jej ta myśl do głowy strzeliła? Skąd ona

może wiedzieć że się to praktykuje? No, u kawalera, to co innego, ale nie teraz tutaj, u stu par djabłów! Po całej okolicy pójdzie fama! Dla takiego głupstwa wystawić się na pośmiewisko! Boć to głupstwo, drobnostka. Że ona to inaczej bierze, to nie racja, aby tak... A i krowy szkoda. To ta duża czerwona z pewnością! Pięćdziesiąt rubli najmniej warta. Niechby sobie była Zosia kaczek babie dała, gęsi, indyk, ale nie krowę!

Szybkim krokiem ruszył ku domowi; w tem znów stanął. Bardzo pięknie, ale cóż on żonie powie? Wymówki jej robić będzie? Djabli wzięli, niema sposobu! Rozbeczy się... Ale i bez beku głupie położenie. Bodaj ją wszyscy!... Żeby choć była jaką klempę marną wybrała, ale to najlepszą może dójkę oddała! Toć i dla niej samej to blisko pół rubla dziennie dochodu mniej. Strasznie głupie!

Ale cóż, niema rady! Jedyne wyjście ignorować całą sprawę. Zresztą prawda, że krówsko stare, bez połowy zębów i bez rasy. Najgorsze to ludzkie gadanie koło tego. Wolałoby się 50 rubli dać ciepłą ręką. Trzeba było starej dać, jak na Wielkanoc przychodziła! Aleć przecie 10 rubli dał, a przedtem na Nowy Rok też 10. Mało to?

— No, trudno, co się stało, nie odstanie! — konkluduje pan Józef. — Trzeba miną nadrobić, a zresztą udać, że się absolutnie o niczem nic nie wie. Zosia sama może też mnie nie zaczepi. A z pewnością mnie teraz dwa razy więcej jeszcze kocha: z kobietami to tak!

* * *

Zima. Pan Józef późno w nocy wrócił z polowania o kilka mil i wysypia się. Koło południa dopiero wyszedł

w podwórze. Przed stajnią zaszedł mu drogę Berek pachciarz.

— Padam do nóg wielmożnego pana!

— Jak się masz, Berek. Cóż tam nowego w mieście?

— W miasto? Co mnie do miasto jechać, z czem? Z te kwaterke mleka com ją dzisiaj rano dostawał?

Roześmiał się Zabielski:

— Nie podoba ci się to, że się wszystkie cielaki chowa? To trudno, jak ja za roczniaki po sto kilkanaście rubli biorę, to co mi tam mleko.

— Niech wielmożnemu panu Pan Bóg dopomaga, ale i w samych cielaków iść też *kain geszeft!*

— No, no, niechno się je tylko poodsadza, a będzie mleka więcej niż twoja szkapa uciągnie.

— Aj waj, co będzie, to jeszcze nie wiadomo. Jak wielmożna pani krowów powyprzedawa, to nic nie będzie.

— Co, jakie krowy powyprzedaje?

— A one kobielaste wczoraj przedała.

— Komu?

— Abo to wielmożny pan nie wie?

— A tak — rzekł zbity z tropu pan Józef, wspominając przygodę z krową oddaną Bartnikównie, i wietrząc znów coś niedobrego. Mówiła mi pani. To brak...

— Jakie brak? To rarytne krowe. Niech ja takie braki mam tysiąc!

Zrozumiał pan Józef, że tylko od Berka mógł się, bez zbytniego narażenia swej godności, dowiedzieć, kogo znowu pani Zofia krową obdarzyła, bo był pewnym, że nie o sprzedaż chodziło, na razie zaś zupełnie się domyśleć nie mógł, kto mu tego nowego figla spłatał.

— Głupstwa Berek pleciesz. A nie pamiętam już, kto to kupił. Mówiła mi pani, ale nie pamiętam.

Żydowi błysnęły szyderczo przymrużone oczy. Wycedził:

— Ten stary złodziej Pietrzak, co to ma dziewuchę w kazarmy.

Ulisia! Tego to już zawiele, tego żonie nie daruje! I którą krowę dała? — Popędził Zabielski ku oborze. — Kobielastą, mówił Berek, znaczy srokatą, może folblutkę? Straszne rzeczy!

Wpadł do obory, stanął. Jak tu się zapytać? Nie wypada. A samemu tak od razu trudno poznać. Przedewszystkiem trzeba zrachować czystą krew: są wszystkie jedenaście. Odetchnął. A pół krwi? Jest puste miejsce. Tak, pół krwi była, i do tego maścista! Pamięta ją doskonale, tęga krowa, sześć lat, zdaje się.

Podszedł pasterz i jął w słomie widłami grzebać. Pewnie zacznie i ten gadać. Uciekł pan Józef.

— Ocieliła się pierwiastka, — usłyszał za sobą, ale już nowonarodzonego oglądać nie chciał, tylko zmykał.

Wrzało w nim.

To skandal — bełkotał w pasyi — to niesłychane. Skąd się ona u krocset tysięcy dowiaduje?... A no jednę znarowiła, to ma! I to ta Ulisia! Jeszcze Julka... ale ta, ten tłomok warszawski... Licho ją tu na pokojówkę na te dwa tygodnie przyniosło! Niech cała Warszawa odpowiada, albo koszary, a nie ja! I jeszcze pół holenderkę! Za trzecim razem pójdzie czysta holenderka! To szantaż bezwstydny... z całego świata się tu teraz będą dziewki po krowy schodziły! Tak dalej być nie może. Wolałbym, dalibóg, żeby mi Zosia scenę zrobiła. Wypłakałaby się, i dobrzeby było. A tak też się napłacze, tylko po kątach, a w dodatku krowę djabli wzięli. Czysto babski rachunek! Powinna przynajmniej dbać o ludzkie gadanie, jeśli nie dba o bydlęta. Zapowiem raz na zawsze, żeby bezemnie nigdy żadnych sprzedaży nie było... żeby ekonom nic nie wydawał... To też głupio będzie!

Paskudna historja. I to o tego obieżyświata Uliśkę! Co tam, pójdę wprost do Zosi i rozprawię się z nią, niech będzie co chce!

Wpadł do domu, do pokoju żony. Siedziała przy stoliku z synkiem i uczyła go liter. Spojrzała w zagniewaną twarz męża, powieki jej zatrzepotały i milczeli oboje. Antoś mały zapytał:

— A tego dzika, co tatuś ubił, to z fuzji?

Ojciec nic nie odpowiedział, odwrócił się do okna i papierosa zapalił.

— Wiesz, Józiu — odezwała się nieco drżącym głosem pani Zofia, takiego dzika jeszcześ nigdy nie przywiózł. Będziemy mieli z niego pyszne dwie szynki. To nam na Wielkanoc święcone ozdobi.

— Aha — pomyślał Zabielski — jak to zagaduje, chce zamydlić.

Ona mówiła dalej:

— A te zające, czy wszystkie za-

chowamy, czy mam komu posłać? Możeby księdzu proboszczowi ze dwa?

— A rób sobie z niemi co chcesz! — krzyknął, i wyszedł trzaskając drzwiami.

* * *

Przez następne lata szczęściło się coraz lepiej oborze kaczynowskiej i dotąd szczęści. Już dawno same w niej stoją czyste holendry.

Pan Józef zawsze mało wyjeżdża, ale choć i wyjedzie, gdy powróci do domu, ze spokojną głową do obory idzie i o krówki pyta: żadnej mu nigdy, od owej zimy gdy tak wielkiego zabił odyńca, nie zabrakło.

O pani Zofji sąsiedzi mówią, że z wiekiem przystojnieje: może się to tem dzieje, że twarz jej szczęściem niezmąconem teraz promienieje.

MALIGNA

Został Nagrodzki sam nareszcie! Kazał nawet nocną lampkę zgasić. Ciszę przerywa tylko, z przyległego pokoju, przez odemknięte drzwi, chrapanie kogoś śpiącego, i z ulicy od czasu do czasu głuchy turkot dorożki.

Pilno było choremu do tego spokoju po całodziennych wzruszeniach. Przeszło to wszystko od kilku już godzin, a ciągle mu się po myśli majaczy. Całe życie, a szczególnie przez ostatnie lat kilkanaście, pełnił religijne obrządki jak Bóg przykazał. Gdy jednak, po konsylium lekarzy, napomknęła mu bojaźliwie żona o księdzu, zrazu się obruszył, a nadewszystko przeraził: cóż to, on już na śmierć skazany? Perswado-

wano mu, że o tem mowy niema, że po prostu nieraz spowiedź i przyjęcie Sakramentów świętych zdrowie przywracają... Każdemu tak mówią!

— Widzą mnie gorzej chorym niż jestem — pomyślał wreszcie — a skoro ich to ma uspokoić, niech i tak będzie!

I zgodził się na wszystko.

W miarę zbliżania się uroczystej chwili wpadał znów w przestrach. Skoro się, z przybyciem kapłana, zrobił ruch w mieszkaniu, o mało nie zawołał: nie chcę go, nie chcę! Zdało mu się, że jak go do siebie dopuści, już ze światem zerwie. Nic nie wyrzekł przecie.

Gdy został sam na sam ze spowiednikiem, i ten badać go i na wielką podróż sposobić począł, wstępował w Nagrodzkiego spokój przedziwny; a gdy w oczach zebranej rodziny przyjął Ciało i Krew Pańską, poczuł błogość i wdzięczność bez granic. Zwrócił się do spłakanej żony, do przygnębionych dzieci

i wylęknionych wnuczków z pogodnym uśmiechem. Trwoga śmierci znikła mu z duszy. Niech się dzieje wola Boża! Żył już i tak blisko lat siedemdziesiąt, a skoro mu jest danem opuścić świat w stanie łaski, to cóż więcej człowiek wymarzyć może? Jeżeli go strach bierze teraz, to jedynie na myśl, że mógł skończyć bez odpuszczenia grzechów.

Bóle straszne jakie go od trzech tygodni trapiły, zelżały. Czyby naprawdę przyjęcie Sakramentu świętego miało mu zdrowie wrócić?

Ma teraz uczucie, że już »powinien« umierać, że już zakończył wszystko, co mu na tej ziemi przeznaczonem było. Zdał rachunki Stwórcy, gotów jest stanąć przed obliczem jego.

Żal jeszcze, ale już nie samego siebie, a tych co zostają, co go kochają. Spełnił względem nich swe obowiązki. Żonie poczciwej dał życie bez trosk i w dostatku, dzieci dobrze wychował,

a majątek po nim dostaną niemały, znacznie przez niego powiększony. I pamięć czystą u ludzi, i dzieciom i wnukom przykład z życia swego pozostawia.

Uliczne hałasy powoli ustają; obok chrapanie też milknie. W trzecim pokoju zegar północ bije, a Nagrodzki w półśnie wciąż marzy.

Bezładnie przesuwają mu się przed oczyma wypadki świeże, dawne i dawniejsze jeszcze. Co też teraz bez niego będzie na świecie? Co będzie z dziećmi, z wnukami? Czy im danem będzie, jak jemu, spokojnie starości dożyć i z pogodną duszą umierać? Wielkie to szczęście módz potomkom swym po wieki wieków życzyć, aby, jak się samemu życie swe poprowadziło, tak i oni swoje poprowadzić zdołali! A czegoż lepszego on swoim życzyć może?

Czyż naprawdę i bezwzględnie może? Czy nie ma w życiu jego zupełnie nic takiego, o czem gdyby wiedzieli...

Ba! natura ludzka niestety słabą jest, każdy mieć musi grzechy...

Ale czy poza tem co ludzie za występek poczytują, co on sam za grzeszne przyznał, nie popełnił nigdy nic...

Jakby z długiego obudzone letargu, ruszać się w głębi duszy poczynają wspomnienia...

Oto, pamięta, przed laty, wraca karetką z Lublina. Siostrze jego, już 27 letniej pannie, trafiała się partya. Niejedną przedtem odrzuciła, na tę zdawała się decydować. Pojechał Nagrodzki na miejsce, zasięgnąć informacji o panu K., owym pretendencie. Odkrył, że K. miał w mieście stosunek z damą jedną. Jak on się na to oburzył, jak siostrze rozkrwawił serce, jak, zrywając jej projekta, mówił głośno i ludziom i sobie, że obowiązek braterski wypełnia, nie dając siostrze wyjść za rozpustnika czyhającego jedynie na jej 30.000 posagu. A w gruncie rzeczy o co mu chodziło,

o co, jak nie o ten właśnie posag, u niego samego złożony? Czy nie była to dla siostry ostatnia szansa założenia ogniska rodzinnego? Czy nie mogła przy tem człowieku znaleźć szczęścia? Czy nie przesadził, choć się przed sobą nawet do tego nie przyznawał, doniosłości owych więzów skandalicznych, w jakie niby to K. był okuty? Toć się z inną ten sam K. ożenił i najlepszym był zawsze mężem. Ale byłby wziął 30.000 rubli, a tak zostały one przy Nagrodzkim.

On sam, jak się żenił, czy nie miał poprzednich obowiązków? Stanęła mu w oczach biedna Jadwisia... O, nie pierwszy to raz! Ale zawsze zbywał wyrzuty sumienia: »toć jej się nigdy nie oświadczałem, nigdy jej nawet żadnego prawdziwego wyznania nie uczyniłem. Tym sposobem z żadną panną przetańczyćby nie można!« Teraz, po latach tylu, sumienie woła: »Nie oświadczałeś

się, aleś odgadł co się w jej sercu działo, i bawiłeś się, i chełpiłeś się tem, dawałeś jej się łudzić nadzieją, szukając sam innej, bogatszej!« W rok po ślubie jego umarła: mówili mu ludzie, że przez niego, a on był dumnym z tego posądzenia!

I siostra i Jadwisia tam teraz czekają na niego... Co mu powiedzą? Przebaczą! Ale czy i sędzia wszechmocny przebaczy?...

Trwoga przejęła Nagrodzkiego, a tymczasem coraz się nowe wyłaniały z ciemności wspomnienia, takie nawet, które się przez lat dziesiątki martwemi zdały.

Roku tego gdy święta Bożego Narodzenia na wsi spędzili, po świętach odjeżdżał teść w trzaskający mróz. Miał lekkie miejskie futerko i sama służba radziła pożyczyć mu drugie. Ofiarował mu to i Nagrodzki, bo wypadało, ale nie nalegał jak potrzeba było, i pozwolił starcowi w jednem okryciu jechać

3 mile do kolei. Pamięta, pamięta jak dziś, piekielna myśl w nim błysła: zaziębi się i... Więcej nie dopowiedział sobie, ale noc całą, pamięta, nie spał, snuł projekta. Właśnie trafiał mu się świetny interes, na który dosyć pieniędzy na razie znaleźć nie mógł. Teść nie umarł wtedy, ale czy zamach zabójczy nie istniał?

A ten Walter, na którego hotelu, parę lat temu, zarobił 35.000 rubli. Gdyby, nic zresztą nie ryzykując, był mu 5 tysięcy pożyczył, byłby sam Walter interes zrobił... Ach, te dzieci jego... Bóg wie gdzie się w nędzy podziały. A on, Nagrodzki, nietylko że Walterowi pomocy odmówił, ale ubiegł go i, bez potrzeby rzeczywistej, pożyczył pieniędzy od emeryta jednego, do którego domyślał się, że się Walter zwróci i pożyczkę dostanie.

A ten folwark małoletnich, dla drobnej sumy na licytacyę wystawiony i za

bezcen kupiony, z poprzednią wiadomością, że przezeń kolej pójdzie i że za sam żwir koło 50.000 rubli będzie. Żeby majątek był do kogo innego należał, byliby Nagrodzkiego ludzie błotem obrzucili. Ale że należał do dzieci Herszka Migdała, który zresztą jeszcze za życia na nim powoli bankrutował, wszyscy przyklasnęli, że szlachcic ziemię z żydowskich rąk wyrwał. Ale teraz to już nie ludzie, i nie szlachta sądzić będzie!

Ten urzędnik biedny, ze śliczną żoną, u wód poznany, którego namówił, żeby się do Warszawy przeniósł. Co mu było do tego? Dlaczego się tak ludźmi tymi zainteresował? O co mu w głębi chodziło, o co, jak nie o tę kobietę? Czy dlatego, że go w Warszawie inni uprzedzili i w przepaść ją pociągnęli, że on do ostatniego aktu dramatu ręki nie zdołał przyłożyć, czy

mimo to nie na niego spada to wszystko co inni spełnili?...

Jedno za drugiem wciąż wstawały widma, to groźne, to bolesne, to z błyskiem gniewu, to ze łzami w oczach. Lat tyle, tyle milczały, a teraz się nagle zrywają, cisną, krzyczą gorycz i żal swój bezdenny, wołają... Tak, wołają, wołają przed sąd Boski, tam czekają, zbite w hufiec co chwila liczniejszy, groźniejszy...

Oto stryj żony a przy nim nędzarzy tłum!... Zapisał majątek na biednych, a on testament zwalił. Zrobił stryja po śmierci warjatem! Chociażby nim był, czy tacy warjaci to nie święci prawdziwi?

A w tym folwarku z którego, po żwirze, las sprzedał? Wymawiali mu ludzie, i on sam się wstydził, że folwark zniszczył. Ale za to wyrzutów sumienia nie miał, że, separując chłopów, dwóch nędzników grubo przeku-

pił, którzy ciemną gromadę do zgubnej dla niej zgody namówili. Nie jego to myśl była, ale ją skwapliwie przyjął i bez skrupułu wykonał.

A tę posadę w fabryce, którą dla syna wymógł? Czy nie wiedział o tem, że biedak, który na nią piętnaście lat czekał, obarczony rodziną, potrzebował jej do życia, nie mając, jak syn jego, żadnych innych środków.

I dla dzieci własnych czy był sprawiedliwym? Dlaczego młodszej córce dał o 60.000 rubli więcej niż innym? Dlatego, że poszła za hrabiego. Miał prawo do tego. Miał legalnie, ale moralnie miał prawo tylko o tyle, o ileby więcej od innych dzieci na to zasługiwała.

Raczej powinien był dać młodszemu synowi, który żonę wziął bez posagu, albo bratankowi temu, który gdzieś na prowincyi z głodu umiera z czeredą dzieci. Ha! żeby się był bratanek z hra-

bianką ożenił, byłby go przygarnął. Nędza, nędza!

A ta nauczycielka, tak rozumna, tak cicha i tak piękna, którą Nagrodzka do córek wzięła. Gdy się syn starszy nią zajmować począł, jak ją wyrzucili! Tak, wyrzucili, poprostu! Nie dość na tem, oczernili, że syna im złapać chciała. I to on sam, Nagrodzki, aby się przed ludźmi usprawiedliwić, mówił. A jakież miał prawo? Nie miał żadnego do tej potwarzy. I krzywdę biednej dziewczynie wyrządził niepowetowaną.

A ten dyrektor fabryki, o plamie na przeszłości którego dowiedział się przypadkiem. Co powinien był uczynić? Uprzedzić właściciela, dawnego znajomego i uczciwego człowieka. Natomiast co zrobił? Zwrócił się do samego dyrektora z ostrzeżeniem i z admonicją, grożąc mu na przyszłość. Ale czy nie mógł przypuścić, że ten, jak kradł, tak kraść będzie, tylko ostrożniej jeszcze.

Uspokoił na pozór swe sumienie, a w głębi dlaczego tak postąpił? Dlatego, że w następstwie miał człowieka tego w ręku, a będąc w stosunkach ciągłych z fabryką, wiedział, że stosunki te będą mu przez to ułatwione. Nie wymagał nigdy żadnych ustępstw wyraźnych, lecz nieraz o dostawy targować się przychodziło, co więc przez szereg lat właściciel stracił przez zależność swego dyrektora od klienta? Toć to kradzież, kradzież prosta!

Drży w przerażeniu Nagrodzki: co z nim będzie, co? Jak mógł śmierci czekać z myślą, że zdał rachunek z życia swego? Ta spowiedź ostatnia i tamte wszystkie to kłamstwo, zniewaga! On nie może jeszcze umierać! On musi wpierw to wszystko zapoznane zło wyznać, odpokutować! Boże, Boże, zlituj się, odpuść! — Za późno, z góry głos odrzecze, za późno! — Księdza, księdza jeszcze, toć władza od Boga dana

mu nieskończona! I to wszystko on odpuścić mocen. — Ale czy on sam wspomnieć, wypowiedzieć zdolny! Lat tyle tak żył, lat tyle się ciemne zbierały występki. Ile ich jest, wielkich i małych, w głębinach duszy ukrytych? Całe długie życie jego, od początku do końca, miało dwa oblicza, nie... trzy: jedno dla ludzi, drugie, które sam za grzeszne przyznawał i za które Boskie odpuszczenie uzyskał, i trzecie... trzecie, co samo teraz zostało i z którem dusza jego przed Sędzią najwyższym stanie...

I szamocze się w bezsilnej rozpaczy, w głowie mu tętna kołaczą, oddech w gardle zasycha, bóle okrutne znów krzyże przeszywają. Koniec, koniec, potępienie!...

Wtem za oknem rozlega się zgiełk jakiś, po długiej ciszy wstrząsa chorym. Co to jest? Nasłuchuje: to setny, tysiączny świergot ptasząt w pobliskim skwarze, powitanie słońca. Wytęża wzrok

i między szparami okiennic białe rysy widzi. Dzień, dzień! Ma rozkoszne uczucie, że się ze snu gnębiącego budzi, że się z jakiejś piekielnej otchłani nareszcie na świat jasny wydostaje.

Dudnią zdala koła na bruku. Na podwórzu rozlega się głos ludzki. Słychać jak otwierają bramę. Niedługo się i w mieszkaniu swoi przebudzą. Przyjdzie żona, dzieci, kto znajomy. Ach! jakże pilno Nagrodzkiemu ich ujrzeć, głos ich usłyszeć!

Mary nocne tracą kontury. Widzi je jeszcze, ale jakby odskoczyły w dal. Już nie nastają groźnemi ani łzawemi oczyma: majaczą się hen w górze, niewyraźne, trwożliwe. Jeszcze promień słońca, jeszcze parę głosów ludzkich, a całkiem ulecą...

Co mu było? zapytuje sam siebie. Czego się zląkł? Widziadeł maligny chyba!

I skąd się to wzięło wszystko? Przecież całe życie rozum miał. Żeby takie grzechy duszę w piekło strącały... Toć najcnotliwszego człowieka życie, gdyby je tak zbadać!... Takie nawet filary, chluby społeczeństwa, jak prezes M., radca Z., ksiądz B., hrabia D.... nie mówiąc już o własnych dzieciach, o żonie...

Coraz bystrzej się światło przez okiennice wdziera. Zadzwonił Nagrodzki, kazał odsłonić okno. Słońce potokiem zalało pokój. Poczuł w sobie przedziwną radość, poryw całej swej istoty ku nadziei i weselu.

Ból gorący dźgnął mu krzyże raz, drugi, rozlał się po całem ciele, aż do kończyn. Jęknął Nagrodzki. Źle, źle! Ciemno mu się zrobiło, i w tejże chwili, w bezładnym tłoku, rzuciły mu się znów groźne widziadła przed oczy. Zerwał się na posłaniu, wytrzeszczył źrenice.

Ujęło go rąk kilka. Spojrzał: żona i syn najstarszy. Ochłonął, odetchnął głęboko.

— Co to ojcu?

— Bóle ci wracają?

— Tak — odrzekł — ale to jeszcze nic. Całą noc miałem sny okropne.

— Musiał ojciec mieć gorączkę.

— Dlaczegoś nie wołał, nie dzwonił, toćeśmy czekali wszyscy na twoje skinienie.

— Nie było po co was trudzić. Nie potrzebnie tylko kazałem zgasić lampkę, i tak mi oto Bóg wie co się przed oczami przesuwało, jak to w malignie.

— Trzeba było na noc proszek zażyć.

— Tak. Dziś to mi jeszcze i morfiny musi konsyliarz na noc zastrzyknąć! Kiepsko ze mną! Dobrze, żeście wczoraj księdza proboszcza sprowadzili. Jeszcze raz wam całą duszą dziękuję. Ale mnie ta maligna zmordowała!

ANTOSIA

W ciasnej izbie ciemno prawie. Na rogu kapy u komina kopci naftowa lampka bez szkła; widać ode drzwi na nią zawiewa, bo chwilami płomyk się czołga, kręci jak pijawka, to znów strzela w górę: wtedy, przez mgnienie, widnem się staje wnętrze izby.

Naprzeciw drzwi, u nizkiego okna, stół, przed nim ławka, na której siedzą dwie kobiety. Jedna z nich chuda, żółta, musi być wysoka gdy wstanie; wieku z zabiedzonej twarzy nie pozna: może mieć lat trzydzieści kilka, a może też i pięćdziesiąt; z rękami na kolanach splecionemi, zapatrzona blademi oczyma przed siebie, siedzi nieruchoma, z wyjątkiem ust, z których się urywka-

mi przyciszone słowa dobywają. Druga, również blada, ale mała i krępa, słucha i głową potakuje, lub kilku słowy odpowiada.

Po bokach okna dwa łóżka. Na prawem piętrzą się łachmany przeróżne: tu wygląda wyszarzały rękaw sukmany, tam się wydyma czerwona pierzyna. Z pod tego stosu słychać rzężenie jakieś, miarowe, ciężki oddech żywego stworzenia.

Na lewem łóżku siedzi dziewczyna, już widać do snu gotowa, zamyślona, bujając bosemi nogami pod jaskrawą spódniczką w kraty. Wysmukła jest i mało pewnie od matki niższa. Wygląda na lat siedemnaście lub osiemnaście, ale tylko z wzrostu, z ramion okrągłych i piersi pełnych pod szarą koszulą, bo twarz jej dziecinna jeszcze. Oczów pod spuszczonemi powiekami i długiemi rzęsami nie widać; czoło ma wysokie, brwi cieniuchne a przecież wy-

raźne, nosek prosty, usta maleńkie, policzki okrągłe, choć blade, a żyjące; włosy płowe splecione w tyle głowy. Gdyby główkę tę, wraz z szyją długą i białą, wyosobnić z tego otoczenia, zdawałaby się jakby zmartwychwstałym którym z modeli Perugina lub Botticellego. A kto wie zresztą, czy owych madon żyjące wzory nie miały jeszcze czerwieńszych rąk i więcej zasmolonej koszuli niż tu obecna Antosia, córka Mateuszostwa Napiórków?

Pod samym kominem barłóg ze zmiętej słomy. Obok, dwóch chłopców od lat 10 do 12, klęcząc, ustawia przy ścianie wieżę z kartofli. Od czasu do czasu, gdy się kartoflana budowla rozsypie, rozlegają się wykrzykniki: »Głupiś! Nie tak! Nie rusz, bo jak cię zdzielę!« Przy braciach dwie dziewczynki, nieco młodsze, siedzą na ziemi, i oparte plecami o ścianę, z trudnością

bronią się od snu, który im powieki klei.

Na podłodze leżą porozrzucane: dwa szafliki, kubeł drewniany, sagan, parę misek i blaszanych łyżek. Innych sprzętów niema, tylko jeszcze na zakopconej ścianie, niedaleko komina, półka na bakier zawieszona, z paru garnkami i kwartą blaszaną, a nad łóżkami po trzy zapstrzone i ciemne obrazki święte. W kominie wygasłym wiatr jesienny wyje. Z dworu czasem tylko doleci trzaśnięcie drzwiami, szczeknięcie psa, lub pisk dziecka. Chuda kobieta utyskuje:

— Żeby to chociaż Kostek był... oho! inaczejby było. U Teodorów tak samo, tera chłopak przy wołach służy, a stary za posyłkę ostał.

— Juścić tak, ale wprzódy też młody w wojsku wysłużył.

— Zdrowo Franciszkowej gadać, co waszemu opiekuństwo służy! A niechby

ta i nasz w sołdaty szedł, żeby stary był do czego. Tu mój Mateusz ledwo zipa, a dzieciaka wywieźli, Bóg sam wie gdzie, a jak napisze, to pewnikiem tylo też o pieniądze będzie. I na tom go wychowała, jak rodzonego! Jak Mateusz po pierwszej ogdowiał, Kostkowi dopiero na szósty rok szło, toć sami wieta. A i wy się z waszym Piotrkiem doczekata: tylo patrzeć jak do Ameryki pryśnie. Z dzieciami to tak! Jużby lepiej Bóg najwyższy żadnego nie zesłał, toby człek pod piecem usiadł i śmierci czekał.

— Obrazy Boskiej nie róbta, Mateuszka.

— Tak, a co z nami tera będzie, co? Doktór u Jakóbki gadał tak: »pewnie się, powieda, z Mateuszem na jeden prom zabierzeta«, a dla Jakóbki już trumnę Maciej zbił, stoi ajno w sieni... Gdzie my się sieroty podziejem?... Wyrzucą nas jak psów na trakt, w samą

zimę, na mróz... Żeby choć stary nowego roku doczekał, to jakby się nowy kwartał zaczął, możebyśwa do świętego Wojciecha choć przesiedzieli. Ale do nowego roku jeszcze lepiej dwa miesiądze... Oj biéda, biéda biednemu na świecie!... Żeby choć te pędraki dwa do dwora wołali... Latem to kontente co ich mają, ale w zimę bieduj z niemi matko jak chcesz... To wszyćko od tej krowy co nam tu piąty rok na paśnik zdechła. Jakeśwa na drugą zaleźli w biedę, tak się do samej śmierci pono nie wygrzebiem... Calutkie lato, com przed Ićkiem skryła, tom na wieprzaka składała, a tu chłopakowi przyszło do wojska co potrza sprawić, przepadł prosiak, resztę leki zjadły...

— Aleć Antosia to dzień w dzień do dwora chodzi — rzekła Franciszkowa.

— Żeby też jeszcze nie te 25 groszy... Ale co to 25 groszy na siedmioro

narodu!... I tyle lat się po służbach na to tłuc, tyle lat!

— Pono Antosię chcą do dwora zgodzić, do pokojów?

Na te słowa utkwiła dziewczyna swe wielkie, błękitne oczy w twarzy matki. Przemknął w nich błysk jakiś, natychmiast zatarty wyrazem obojętnej ciekawości.

Mateuszowa fuknęła:

— A tak, tego tylo jeszcze na nasze nieszczęście potrzeba. Chce Franciszkowa, to niech im swoją Marcysię odda. Przychodziła tu już wedle tego i pachciarka, i kucharka. Myślą, że z nędzy to takie dziady rodzone dziecko zaprzedadzą... niedoczekanie ich!

— Nie, to nie, mnie ta nic do tego, a pomstować nie potrzebujeta.

Zamilkły kobiety, a w tem z łóżka prawego ozwał się głos ochrypły:

— Pić!

Podniosła się Mateuszowa leniwie,

wzięła z półki kwartę, nabrała wody z kubła i podała mężowi. Z pościeli wynurzyła się z sapaniem głowa straszliwie chuda, czerwona i spocona, ojeżona rudawą brodą od wielu tygodni niegoloną, o nizkiem czole długiemi włosami oblepionem, o jasnych, szklistych, gorączką błyszczących oczach; następnie ukazała się ręka, równie wychudła, drżąca, która z trudem kwartę do spieczonych ust poniosła. Pił chory długo, potem ciężko zapadł znów w posłanie. Rozległ się kaszel, zrazu przeraźliwy, po chwili coraz głębszy, jakby go zgangrenowane płuca już wyrzucić na zewnątrz nie miały mocy; aż ucichł zupełnie, i znowu miarowe wróciło rzężenie.

Nikt z obecnych nie zwrócił żadnej na to wszystko uwagi. Mateuszowa dalej z ławki półgłosem prawiła:

Wikary z ambony obiecował wczoraj jeszcze, że czem gorsza komu tera bie-

da, tem mu po śmierci weselej będzie. To wiadomo kuždemu, ale już nas to za dużo Pan Jezus na tym świecie nakazuje. Czyśmy kiedy skrzywdzili kogo, czyś kiedy, powiedz sam, stary, przyniósł mi ze dwora grochu w cholewach, albo choć wiórków za pazuchą? A po te lata bez mała wszyscy tak robią... i taka nadgroda nasza za sprawiedliwość naszą...

— Trza iść spać — rzekła Franciszkowa powstając — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków amen! — odpowiedzieli wszyscy chórem, nawet Mateusz z łoża swego.

— No, Antka — zawołała matka — posprzątaj chyżo statki z podłogi, już się i tak za dużo nafty wykopciło. A wy, śmierdziele, spać!

Wstała powoli dziewczyna i przeciągać się poczęła ziewając. Wtem znów zgrzytnął skóbel, weszła stara kobieta,

mała, zgarbiona, o twarzy śniadej, pomarszczonej, oczach czarnych jak węgle, nosie ponad same ściągnięte usta zwieszonym. Głowę miała szczelnie zieloną chustką obwiązaną. Była to żona dworskiego pachciarza Ićka Kupra.

Słowa nie mówiąc, podeszła na środek izby, popatrzyła dokoła, wreszcie zapytała:

— Nu, i jakże tam Mateusz?

— Kiepski.

— Na kużden człowiek przychodzi termin — wyrzekła żydówka. Jednemu żyć sto lat, drugiemu miesiąc, jednemu mieć gełt pełnych skrzyniów, inszemu całe życie po próżnicy harować... wola Boska!

— A tak, jednemu dzień w dzień, rok za rokiem, w skwar czy w mróz, jako bydlakowi robić i jako bydlakowi zdychać, a drugiemu jeno chodzić od chałupy do chałupy i każden grosz ło-

wić, a w siabas to się świeczkami obstawić i Panu Bogu dziękować!

— A wy co mata za recht mnie tu wydziwiać? Pierwej oddajta, cośta od Ićka nabierali, a potem będzieta mądrować! Patrzajta ją! A jak wam co potrzeba, to potrafita grzecznie zagadować: »moje Ićkowe złote, złociuchne!« Za to też i przyszłam, czas skończyć ten jenteres cały.

— No, niech się Ićkowa nie złości, bieda gryzie, to zwyczajnie człek zły.

— A widzita, jużeśta słodkie.

Zakotłowało się w kącie pod kominem, chłopaki się bili o podarty kożuch, który im za wspólną kołdrę służył. Mateuszowa porwała miotłę, machnęła raz i drugi:

— A nie będzieta cicho, hycle? spać, rozumieta? A ty Antka na co czekasz? ruszaj mi się, pozbieraj graty i do łóżka, a pierwej dziewczaki weź z pod pieca, układź. Tylo pamiętaj, nie przy-

duś mi Kasi jak dzisiej nocy. Ledwom się dzieciaka docuciła...

Ićkowa przysiadła na ławce i mówiła powoli:

— Po złości nikt nic nie zrobi. Nam swoje tera odbierać mus: całkie lato mleka mało buło, tera do reśty krowy zapuszczają... a tu niéma żadna chałupa, żeby się nie naborgowało.

— A skądże ja wam wezmę, na rany Boskie?

— Nie mnie wam redzić, abo ja wiem. Ale za krowa wiéta ile wam Iciek daje. Porządne cene!

— A toć to ostatnie opercie nasze, ta krowina! Weźmieta ją, to już i nam wszyćkim jeno w przerębel skoczyć!

— Toć ją za darmo nie chciemy.

— Dajeta 24 ruble, a piętnaście i złotych trzy i groszy dwanaście byśta sobie potrącili. A potem calutką zimę czem dzieciom krasić?

— I tak wam tera żadne mleko dawa.

— Daje dobre półtorej kwaterki. Zapuści, to będzie jadwent, olej nastąpi, a po nowym roku, da Bóg najwyższy doczekać, ocieli się.

— To nie ma nic do jenteres. Iciek dłużej czekać nie może. Oddam, on powieda, sprawa do sąd...

— Kobieto, toć wam nicht nie zapiera, nie przepadnie wam, tylo tera najgorsza pora, najgorsza.

— Buła i lepsza pora, i też minęła. Same wieta ile to lat już obiecujeta. I bez to lato przy kuždej wypłatni we dworze obiecowališta...

— A cóż ja do wypłatni do dwora zaniosę, kiej wszyćkie kartki codzień do was idą!

— To ich nie przynośta.

— Mądraśta, a data darmo kaszy, abo choć nafty?

— To wsio próżne gadanie. Nie chciałam was po sądów ciągać, dlatego przy-

szłam po dobrości, ale kiedy niema żadne rade, to niema.

Żydówka wstała, Mateuszowa zawołała:

— Przecie zawdy takiej biedy nie będzie, może się Mateusz wygrzebie, przyjdzie lato, będzie zarobek... tera wlek znikąd wziąć, jeszcze leki płacić trzeba...

— Toć wam doktora ze dwora przysłali.

— Przysłali onego z miasta, ale co to znaczy! Przyjechał, pojechał, a za każdą butelczynę z japtyki to zara 2 złote płać, abo i 3. Tać sami najlepiej wiéta, bom wam już trzy ćwiartki z ordynarji przedała. Cięgiem coś trza: choć i trzewików i chustki dla dziewuchy, boć to zima zachodzi, naga do roboty nie pójdzie. A wasz brat z Troszyna jak do Mateusza przyszedł, to w kużden raz też pół trzecia złotego chciał, ledwo w tamtą środę na półtora opu-

ścił i szczyptę ziela ostawił, co się tera zaparza staremu. Żeby doktór z miasta, powieda, jeszcze raz do waszego przyjechał, to już i po nim. A bańków to postawić nie chciał nijak, jeno za 18 groszy. Moja Ićkowa, poczekajta tylo wiosny, dzieci pójdą w pole, to na wszyćkie świętości przysięgam...

— To wielkie i piękne słowo — przerwała Ićkowa, ale jak my wiosna nie doczekamy! jak pójdzieta stąd w świat?

— Gdzie nam w świat?

— A ino, jak mieszkanie chto drugi zajmie?

Milczała Mateuszowa, nie wiedząc co odpowiedzieć.

— Słuchajta, Mateuszka, cobyśta wiedzieli, co my dobre ludzie, ja wam co powiem: kiedy się wasze klempe ocieli?

— Po nowym roku niedługutko, a może prędzej.

— Słuchajta, po cielaka wam nic. Już ja to u Ićka wyśpekuluję, co un

was w spokój ostawi, a tylo jemu ten cielak oddata w procentu, od święty Michał co nam się należy.

— Bójta się Boga, toć cielak wart ze cztery ruble!

— Od takie krowe? ćtery ruble? A choćby; abo myślita, co my bez was nie stratne już ćtery ruble? Niech moje wrogi tyle zdrowie nie mają, ile więcej jak ćtery ruble Iciek bez was stratny! Ać i wam lepiej marny cielak oddać jak całe krowe.

— Juścić lepiej.

— Krowe weźmiem zara, a jak się ocieli i cielak tydzień odsysa, zabierzeta ją se curyk.

— A zara ją chceta brać?

— Nu, wielga krzywda, toć i wasze krowe i nasze w pańskie obore stoi! Czy w tego budynku stojała czy w tamtego, ganc gleich.

— Już jak ona w pańskiej oborze

przy Ićkowych krowach stanie, to przepadła.

— Co przepadło? Toć będzie świadków co to jeno zastaw. Tylo kłopot z bydlaka nie będzieta dwa miesiądze mieli. Czysty jenteres. Nie przepadnie wam, choć i pójdzieta z Sosnowa.

— Gadał tak kto ze dwora?

— Gadał do mnie sam dziedzic. Powieda tak: Mateusza żal mi, a i baby, jak gdową z dzieciami ostanie, ale co, powieda, ja poredzę, kiedy miejsce nie ma, i tak we dwójkę kilku siedzi.

— Jezus Marya! — zakrzyknęła Mateuszowa — to już nas pewnikiem wyrzucą, przyjdzie zmarznąć z dzieciami pod płotem.

Ićkowa czekała chwilę, i:

— Byłoby na wszyćko rade. I krowę byśta zatrzymowali, i nicby wam nie brakowało.

— A to jak?

— Żebyśta takie sperte nie byli.

— Już jak kto sperty, to chyba nie my!

— A właśnie wy. Wieta, co pokojówki do dwora...

— A toć wiem o tem od żniw. Dziewuchy im się mojej zachciało! Pójdziem w świat, słyszyta, wyzdychamy jak psy, a dziecka na zgubę nie oddam. Kiedyśta z tem znów przyszli, możeta iść, czarownico stara!

— Sama wy czarownica, nie ja! Oddajta pieniądzów, a nie, to w kryminału was wsadzam.

Nagle, zmieniając ton, łagodnie:

— I znowu na wiater krzyczyta. Ja wam tam nie namawiam, jeno powiedam com słuchała: moglibyśta się wnieść do murowanka za wieś, na wiosna do kartofle dostanąć rola, do len też, krowę chować, a w lato i długów wypłacić. Co się boita? I puryc... dziedzic, i rządca cięgiem po świat, jak to kawalery, jadą. Pokojówki święte życie,

a myto dostanie 30 rubli. Jak jej będzie źle, to ona do was wróci, a wy jak się do murowanka wniesieta, to i ostanieta. Jeszcze weźmijta zara zboże na odrobek, a nie ruszą was! Nu, a czy nie chcę ja dobrze dla was, nic dla dwór? Chyba rozum całkiem nie mata, jak nie rozumieta.

Mateuszowa nic nie odrzekła. Antosia znów siedziała na łóżku. Najpierw na Ićkową, potem na matkę spoglądała z wyrazem niepokoju.

Wtem z kąta izby ozwał się z pod betów ochrypły, urywany głos Mateusza:

— Ićkowa, na rany Boskie, na kuśta. Nie długo już mi na świecie... już mnie Bóg najwyższy przed sąd swój święty woła... niech nie powiem tam, com dziecko rodzone na zatracenie bezbożnikom oddał... niech się i nad nimi Bóg sprawiedliwy ulituje, a i was, ko-

bieto, niech nawróci i opamięta, jeno idźta, idźta stąd, idźta!...

Urwał, zaniósł się kaszlem. Ićkowa wzrokiem pełnym obawy i nienawiści rzuciła ku łóżku, skąd ten jakby już zaziemski głos przyleciał, następnie ruszyła ramionami z pogardą i zwróciła się ku drzwiom. Już za progiem, przystanąwszy, syknęła:

— Róbta co chceta, ale mnie mus zara wiedzieć czy cielak będzie mój za procent, czy nie. Jak jutro do południe nam klempe w zastaw nie oddata, zara po obiadu Iciek skarga w sąd podawa.

Trzasnęła drzwiami aż szyby zadrżały.

* * *

Upłynęło trzy tygodnie. Mateusza już od dwóch pochowano. Przyszedł karbowy ze dworu zapowiedzieć Mateuszowej, że na nowy rok mieszkanie opuścić musi. Poleciała do dziedzica:

raz spał, drugi raz odjeżdżał do miasta; wreszcie go na podwórzu przydybała, wybuchnęła płaczem, zaklinała na wszystko, wspominała 27 lat pracy Mateusza...

— Jakie dwadzieścia siedem lat? — krzyknął nadbiegając rządca. — Toć wy tu dziesięciu lat nie służycie!

— Prawda — odparła Mateuszowa — że tera dopiéro ósmy rok jakem tu nastali, ale jeszcze za jaśnie rodzica pana mój tu kawalerem przy bydle służył, potem w Wichrowie, w Małejwsi, w...

— To mnie nie obchodzi, to trudno — przerwał dziedzic. — Trzeba się było z miejsca na miejsce nie włóczyć.

— Zwyczajnie, człowiekowi bieda, to szukał lepszego bytu; to na ordynarję pośladu dostał, to kartofle rok w rok przepadały... ale zawdy od maleńkości do samiutkiej śmierci cięgiem na dwór robił a robił.

— Za tę robotę wam też »cięgiem« dwór płacił i płacił, a po śmierci płacić nie może, trudna rada! — rzekł rządca.

— Żebyśmy, moja kobieto, tylko miejsce mieli, to i owszem, ale go niema, prawda panie? — spytał dziedzic.

— Naturalnie że niema, i tak nam służba ucieka, powiadają, że im za ciasno siedzieć. Ale, ale, proszę pana, gniademu ogierkowi wyskoczyła martwa kostka.

— Co Pan mówi? Gdzie?

— Nad lewą przednią pęciną.

Pobiegli obydwaj. Mateuszowa powolnym krokiem zawróciła ku domowi. Ostatnia jej nadzieja pierzchła. W dzień śmierci męża krowę Ićkowi w zastaw oddała, uprosiła żyda, że jej przytem 3 ruble dopożyczył, ale i to na trumnę i pogrzeb nie starczyło, jeszcze ćwierć żyta i ostatnie pół ćwiartki grochu sprzedać musiała. Już jej z ordynarji

tylko kilka garncy żyta i garść jęczmienia pozostało. Jedne kartofle jeszcze w dole są, i te 25 groszy co je Antosia kwitami w dni robocze przynosi.

Kwity te też do Ićka mus nosić, bo we dworze wypłata dopiero na 1 grudnia. Żyd zaś za 25 groszy daje tylko 24, jak nie 23. Zawsze za nie Mateuszowa może kupić to kaszy, to okrasy, to mleka trochę. Ale jednego poranku dziewczyna wraca z wiadomością, że na folwarku młocka stanęła i roboty już niema.

Teraz dopiero prawdziwa bieda! Decyduje się Napiórkowa krowę żydowi sprzedać za 24 ruble. Krowa czy tak, czy tak, stracona, a przynajmniej kilka rubli jeszcze się złapie. Lecz Iciek już i słyszeć nie chce:

— Wysychła klempa jak wiór — powiada — pewnie cielaka nie przeżyje. I tak do ten cały jenteres z pięć rubli będę dokładać!«

Przychodzi na samej wodzie i soli kartofle gotować. Nie czeka już adwentu Mateuszowa, i te półtora garnca siemienia, co je na post chowała, do wybicia oleju przez Antosię posyła. Codzień jednak i olejem krasić nie można, bo te niecałe dwie butelki na długo starczyć muszą. A kartofli też oszczędzać trzeba, bo się w dole psują, nie na długo i tak starczą. Na głód dzieci wyrzekają.

Grudzień nastaje, mróz ściska. Paliwa to prawda że ze dworu dali; ale cóż z ognia kiedy niema co przy nim ugotować? Chłopcy też wolą, w mróz i w zadymkę, w letnich kubrakach i w poszarpanych butach nieboszczyka ojca, djabeł wie gdzie się włóczyć. Co i raz tylko wpadną, sine ręce u komina odgrzeją, nawet jeść nie wołają, bo wiedzą że niema, i nazad w świat ruszają. Antosia leży na łóżku, czasem się zdrzemie, ale najczęściej godzinami całemi

patrzy w pułap szeroko rozwartemi oczyma.

Jednego wieczora Mateuszowa ujrzała na kominie, obok sagana z kartoflami, garnek nastawiony. — A to co? Zapuściła kopystkę: groch... A skąd to? — Spojrzała po chłopakach: siedzieli pod ścianą ze spuszczonemi głowami. Zrozumiała, otworzyła usta by krzyknąć, zrobiła ruch by kradzione jadło za drzwi wylać... Ale głos jej w gardle a ruch w ręku zamarł. Stała długo nieruchoma, milcząca, z kopystką w ręku, a z bladych oczu, po wychudłych policzkach, łza po łzie ściekała. W saganie i garnuszku zaczęło kipieć: wzięła garść soli, i tu i tu zasypała.

Gdy zasiedli do kolacji młodszemu z chłopców zaświeciły się oczy, otworzył usta, ale starszy kułakiem w kark przerwał mu ochotę do wynurzeń, szepcząc równocześnie przez zęby:

— Nie będziesz cicho, psubracie?

I jedli wszyscy w milczeniu pierwszą grzeszną strawę.

W pół adwentu zawołał karbowy Antosię znów do roboty. Bogu dzięki, że przynajmniej te kilka groszy codzień będzie. Ale oto mała Kasia zapadła na jakoweś zapalenie. Zaniosła ją matka do żyda felczera, ten wziął 3 kwitki 25 groszowe, kazał zapuścić kołtun, i samo mleko dawać. Mleko! Skąd go tu wziąć! Po kryjomu przed drugiemi dziećmi kupuje je Napiórkowa u pachciarki z Antosi zarobku, i dziecinie daje. Myślała że za te kwity będzie mogła na Narodzenie Chrystusa Pana odrobinę mąki kupić i bocheneczek jaki upiec, ale pewnie i z tego nic nie będzie.

Antosia od roboty równo z nocą zawsze do domu wracała. Raz już się kawał czasu ściemniło, gdy nadeszła.

— Gdzieś chodziła? — spytała matka.

— U Tomaszów byłam.

Nie jadła dziewczyna nic wieczora tego. Zaraz na łóżko legła, ale nie spała; przewracała się i przewracała.

Nazajutrz Napiórkową zagadnęła Michałowa, sąsiadka:

— No, to i oddaliśta dziewuchę do dwora? Dobra służba.

— Do dwora? Do jakiego?

— A no, dumałam, co do zgody wczoraj chodziła...

Odwróciła się Mateuszowa, zmieszana. Przypomniała sobie wczorajsze opóźnienie córki i jej zachowanie. Gdy Antosia przyszła, zagadnęła ją ostro:

— Co to gadają, coś się do dwora zgodziła, bez opowiedzenia się?

— Ja? nie! — odparła wylękniona dziewczyna.

— A pocoś tam chodziła?

— Nie chodziłam!

— Łżesz! No, pamiętaj, raz ci to zapowiadam: jak się dowiem, co się koło

dwora włóczysz, jakem matka twoja, gnaty ci wszystkie połamię, pamiętaj!

W kilka dni potem, na południe, już blizko drugiego dzwonka Antosi widać nie było. Gdy się nareszcie zjawiła, Mateuszowa przyskoczyła, chwyciła ją za kaftan:

— Gdzieś znów była? gadaj gałganie, bo cię tu... gdzieś była, we dworze?

Antosia w przerażeniu oczy rozwarła, usta jej dygotały, próbowała się z rąk matki uwolnić. Mateuszowej oczy iskry ciskały, raz, drugi, trzeci, córkę w twarz uderzyła, krzycząc wciąż:

— Gadaj ty niecnoto parszywa, we dworze byłaś? coś tam robiła? Dostałaś jeszcze może co, hę? oddaj, ty suko! Gdzieś schowała?

W mgnieniu oka rozpięła kaftanik, kościste ręce gorączkowo za koszulę zapuściła, do pasa plądrując...

— Jest! — wrzasnęła wyciągając

pomięty papierek rublowy, i znów dziewczynę zanoszącą się od płaczu, zastawiającą się rękami, uciekającą, jęła okładać pięściami. W końcu się o ławkę potknęła, stanęła, i zadyszana bełkotała:

— Nauczę ja cię, łajdaku, to ty tak sobie radzisz!... Coś tam robiła? gadaj, gadaj zara, bo ci wszystkie zęby powybijam... Siłaś razy tam była!

Antosia, wylękniona, bąknęła:

— Dwa razy.

— U kogo?

— W kancelarji.

— U samego pana?

— A juści.

— Co ci gadał?

— Gadał, cobym się do pokojów zgodziła.

— A tego rubla, to ci na zadatek dał?

— Nie.

— A za co?

Antosia milczała.

— Za co? gadaj! — powtórzyła Mateuszowa podnosząc rękę.

— Za nic.

— Za nic? Łżes psiawiaro! Gadaj za co?

— Kazał kupić chustkę piękną na święta do kościoła.

— I nic za to nie chciał od ciebie?

Dziewczyna znowu milczała.

— Gadaj zara, bo...

— A co miał chcieć?

Teraz Mateuszowa zamilkła. Po chwili spytała:

— I tak cię przy ludziach pan ze stodoły do kancelarji zawołał?

Antosia, odzyskawszy już pewność siebie, odrzekła:

— Okunom kazał ze spichrza ot takie dwa woreczki pszenicy na pokazkę do dziedzica zanieść.

— Wszyscy się zbóje spiknęli! A to łajdactwo!

— A pierwszy raz też ci pan rubla dał?

— Nie, rządca akurat przyszedł.

Napiórkowa otworzyła garść, spojrzała na zwinięty papierek, zdała się wahać co z tym fantem robić. Ścisnęła go napowrót w dłoni.

— Słuchaj, Antka! — rzekła — głupia jezdeś, zwyczajnie dziewucha, i więcej cię karać tera nie będę. Ale pamiętaj, do dwóch razy sztuka. Jak nie, to jakem twoja matka, wyrzucę cię na trakt, wyprę się ciebie przed światem... no, pamiętaj!

Usiadła Antosia na łóżku, zapięła kaftan, ogarnęła włosy rozczochrane. Spoglądała na matkę z wyrazem bojaźliwej nienawiści. Wreszcie głosem urywanym, zdławionym, ale stanowczym, rzekła:

— Wolno matuli bić... i zabić... i wygnać... ale i ja też już mam Sosnowa dość... Pójdę na służbę, nie tu, to do

miasta... do doktora mnie chcą, to zara w niedzielę zadatek wezmę, i tyla.

Mateuszowa popatrzyła na córkę z niewypowiedzianym wyrzutem, ujęła się rękoma za głowę i prędko rzekła:

— A rób se co chcesz, godź się do doktora, do djabła samego, już ty nie moja córka, już ja z ciebie pociechy nie będę miała, za to com cię wykarmiła, wychowała jak Bóg przykazał, to pod kościół pójdę z dzieciakami! Chcesz, to se zara możesz iść w świat!

Przez następne dni Antosia punktualnie z roboty wracała. O całej awanturze z rublem mowy nie było. Chłopaków wciąż licho gdzieś nosiło, a co i raz się na stole coś niespodziewanego znajdywało, to cebula, to żyta gromadka, to grochu, to jęczmienia. Raz w garnku Mateuszowa całego kuraka, porządnie oskubanego i oprawionego, znalazła; tym razem, przy adwencie, hałasu na-

robiła. Chciała chłopców bić, ale młodszy, chowając się pod stół, piszczał:

— Zabaczyłem, matulu, co to post!

Wspomniała matka, na co im od dwóch tygodni z nędzy pozwalała, spuściła głowę, kurczę pod fartuch schowała i wyniosła.

W przeddzień Wilii Bożego Narodzenia chłopaki, jak zwykle od czasu jakiegoś, kawał dopiero w noc przylecieli. Starszy miał podbite oko, młodszy twarz podrapaną, a obaj co chwilę rękami się za siebie brali, i usiedzieć nie mogli. Nazajutrz po południu weszła Michałowa, i zaraz odedrzwi:

No cóż tam chłopaki, liżą się?

Napiórkowa spojrzała pytająco.

— A to Mateuszka nic nie wieta? Toć ich gospodyni dworska złapiła jak się bez okno do piwnicy od sadu dobierali. Pono drugi tydzień już jej raz w raz ser gdzieścić ginął... A to psotniki dopiero! Ale im pono smarowa-

nie sprawili jak się patrzy. Dobrze im tak! Aż dziedzic sam na ten krzyk przyleciał, i »dobrze się stało, powiedział, com tych rozbójników w Sosnowie na drugi rok nie zatrzymał!«

Mateuszowej się oczy zaiskrzyły. Michałowa ciągnęła dalej:

— I ktoby się to spodziewał, mój Boże, takie się zdawali spokojne...

Wtem, jakby sprężyną ruszona, zerwała się Mateuszowa, zacisnęła pięści i na całe gardło:

— A to wam mnie tu urągać, złodzieje? tak, złodzieje! A małom to ja waszego widziała jak po nocach worki nosił, mało? Żem nie pyskowała, tośta myśleli com taka głupia! A do Ićka o północku tośta piasek workami nosili i nosita? Patrzajta ją! Mnie Bóg najwyższy za moje dzieci zamorzone albo ukarze, albo w miłosierdziu swojem odpuści... tyle lateśwa ździebła cudzego nie ruszyli... ale wam!...

Michałowej już nie było.

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia Antosia, jak poszła rano do kościoła, tak nie przyszła aż o zmroku. Ale jej się już o nic matka nie pytała. I po co? Za kilka dni i tak pójdzie z dziećmi... gdzie? pojęcia o tem nie ma.

Po świętach znów roboty dla dziewczyny w folwarku nie było. A i chłopaki do włóczęgi stracili ochotę. Siedzieli wszyscy, czekając nowego roku, jak gromada skazańców egzekucji.

Na dwa dni przed nowym rokiem, gdy się już dzieci spać pokładły, przyszła pachciarka:

— Szkoda — rzekła — cośta mnie, Mateuszka, w swoje pore słuchać nie chcieli, szkoda. Tera co będzie?

Napiórkowa milczała.

Nie przychodziłam do was, bo i na co? kiedyśta sobie uwzieni. Ale i terabym wam co poredzić rada, jakem żydówka.

— A co mi kto tera poredzi?

— Nu, nu, jakby się postarać!... Wtem sęk, cośta dziewuchę do miasta oddawali.

— Gdzie?

— Aboć nie wieta? Do doktora się zgodziła od nowy rok, zadatek nawet wzięna.

Mateuszowa ręce podniosła i bezradnie opuściła.

— Chcieliśta ją, Mateuszka, trzymać i trzymać. Dziewuchę na kłódka nie zamkni. Nie dziś, to jutro się wymkni. Uwzięniśta sobie, tera mata. I to do miasto! Gdzie się ruszyć, dragun stoi. Kein geszeft! A nie lepiej było ją tu do dwór oddawać? Tu fein służbe i wamby nic nie brakowało. Tera drugą zgodzili, i mata.

— Zgodzili?

— A juścić! Mieli wasze łaskie oczekować? Zgodzili Sikorównę Teofilę z Wypych.

Antosia poruszyła się na posłaniu, podniosła głowę, wsparła na łokciu i słuchała.

— Ja wam co powiem, Mateuszka. Mnie wam żal, auf meine munes, aż mnie tu ckli, jak ja na was patrzę. Nie chcieliśta mnie słychać, nawęteśta takie paśkudne słowo potrafili wymawiać... Ale ja tam nic nie chcę pamiętać! Niech mnie Iciek i wybije, a ja wam ratować potrzebuję.

Spojrzała Mateuszowa z niedowierzaniem.

— Od czego u mnie głowe jest? — rzekła żydówka z dumą. — Trudny jenteres, bo trudny, ale i gorsze bywały... Najgorzej, co tu w ośmiorki nie sposób wam ostać, a murowanka Walentowi, mularzu, obiecowana.

— Obiecana?

— Obiecana. Oj, głupie wy ludzie głupie!

— Już nam tera nicht nie poredzi.

Żebyśta choć tej krowiny nie byli zabrali! Pewnie się już ocieliła?

— Co tam krowe! Krowe to głupstwo, krowe to nic, to tyle co czarne za paznokieć! Tu nie o krowe jenteres, a o was! Jeno się na mnie spuścijta, a za trzy dni Antosia będzie we dworu. Doktoroju zadatek odda, doktór panu preces nie zrobi. Całe rzecz, coby wielmożny rządca tera chciał.

— Rządca?

— Pan pojutrze odjadzie do Warszawy na całkie zime. Szkoda! Ale rządca też usługa potrzebuje. Nie to już! Nu, a czasem może będzie jeszcze lepiej? Mus tak zakręcić, coby un już Sikorówne nie chciał. To git co una jeszcze nie nastała, dopiero od nowy rok. Najgorsza bieda z mięszkanie; un powie tak: dziewucha wezmę, ale stara nie chcę widzieć na oczów. Jeszcze po tych serów co wasze chłopaki...

— Ićkowa na wszystko sposób naj-

dzie — zawołała, wybuchając płaczem, Mateuszowa.

Żydówka się obejrzała, podeszła do drzwi, sprawdziła czy w sieni nikogo niema, i szeptała:

— Słuchajta, to trudne sprawe, ogromnie trudne, no od czego głowe na kark? Tylo kosztów, to będzie! O Sikorówna, to już ja rządcy tak powiadam, co un i spoglądać na nią nie zechce, ale i jej mus coś dawać, coby nie pyskowała. Z Walentem tak samo: będzie chodzić i pomstować, mus i jemu gęba zatykać...

— Ićkowa moja złota, redźta jak chceta, do grobu wam nie zabaczę, Bóg najwyższy wam...

Urwała Napiórkowa i po chwili ciszej dodała:

— Póki życia mojego, i ja i dzieci wam się wysługiwać będziem, tylo ratujta!

— Git, git! Ale najsamprzód pamię-

tajta, ty Antosia tak samo... póki dziedzic nie odjadzie, sia! Ani pary z gęba nie puścić, bo ferfał cały jenteres. A druga rzecz, to że na to pieniądze potrzeba, i to zara gotówke, bares gełt. A ja niémam.

— Toć i ja nie mam — rzekła Mateuszowa. — Ale Ićkowa da radę.

— Jake rade? Jak niéma, to niéma. Póki ja dam rade, to i termin minie! Tu gewałt. Toć za trzy dni nowy rok, Sikorówna się sprowadzi, Walenty murowanka zajmie... Słuchajta, jednego sposobu jest: wezmę od rządca dziesięć rubli na Antosi myto. Un da, musi dać, już ja wyśpekuluję, co un da. Za dziesięć rubli cały jenteres się zrobi.

— Bójta się Boga, całe dziesięć rubli? Toć potem blisko dwa kwartały przyjdzie dziewczynie darmo służyć.

— Aj waj! A Sikorówna, a Walenty, a doktór? Sprobójta same, jak chceta!

— Zlitujta się, Ićkowa, dajta choć

z rubla mi do ręki. Choć kaftanik dziewczynie muszę przecie sprawić.

— Nie potrzeba, będzie miała wszyćko! Zresztą, cobyśta nie wyrzekali, to w te dziesięć rubli dodam wam 4 łokcie barchanu pruskiego na kaftan. Mam akurat takiego. Nu, to i zgoda?

— A krowę oddata?

— Jak Antosia będzie we dwór, wy w murowanka, a krowe się ocieli, to ją wam oddawam. Nu zgoda?

Zamyśliła się Mateuszowa. W chwili ostatecznej decyzji burzyło się w niej coś. Wreszcie westchnęła głęboko, i cicho odparła:

— Zgoda.

— Nu, to widzę, cośta mądre! Tylo pamiętajta, cicho o to wszystko, i tu z ludziami, i z Sikorówną, i z Walentem. Jak się co wydawa, będzie źle! Pamiętajta, aż dziedzic odjadzie. I Antka, niech Bóg broni, niech nawet koło dwór nie chodzi, aż nastanie termin.

Ja sama będę powiedzieć, rozumiesz, Antosia?

W półciemnym kącie izby ginęła twarz Antosi, jedne oczy w mroku błyszczały. Gdy się do niej zwróciła żydówka, spuściła rzęsy. Ićkowa, odchodząc, kiwnęła głową i dodała:

— Z take gębe... żebyś ty jeno głupia nie buła!...

Szybko uniosły się i znów opadły powieki dziewczyny.

FILOZOF

— Wiesz, Romanie, mało u ciebie zajęcy.

— Prawda. Dwie godziny jeździć i dopiero trzech szczuć.

— Czem się to dzieje? Toć ich oszczędzasz. Może ma rację mój sąsiad pan Kajetan, że zające to jak czupryna: im więcej strzydz, tem więcej rośnie. Dobrze, żem swoich psów dziś nie wziął.

— Rzeczywiście. *Moi, tu sais, si ça continue,* palę swoim wszystkim we łby. Nie warto tego chować, kiedy zajęcy niema. Szczepan, bliżej się nas trzymaj!

— Proszę jaśnie hrabiego, Dolot tak się prze, co mnie mało z kulbaki nie zsadzi.

Dwaj młodzi myśliwi jechali na pysznych gniadych pół-anglikach; za nimi, na kościstym garbonosie, dojeżdżacz z trzema chartami na smyczy. Postępowali rzędem w poprzek podorywki. Przyjechawszy do sąsiedniej zielonej oziminy, zatoczyli szeroki krąg, i nowym śladem nazad kroczyli. Milczeli teraz, i tylko słychać było brzęk mundsztuków, skrzyp siodeł i sapanie Szczepana, wciąż szarpanego przez psy. Dzień był jesienny, chmurny i chłodny.

Przejechali cały ugór; nic.

— I cóż dalej? — zapytał hrabia Roman.

— Z przeproszeniem jaśnie hrabiego i jaśnie pana, dzisiaj na naszem zajęcy nie będzie. Żeby tak spróbować na ślacheckiem albo na chłopskiem. Zara oto granica.

— Co ty gadasz? Toć oni cały rok zwierzynę tępią, to sami raubszyce!

— Warto jednak spróbować — zao-

piniował drugi myśliwy. — A nie powiedzą nam nic?

— O to nie ma obawy! Aby im zboża bardzo nie deptać. A u ciebie, Stasiu, czy tak samo źle ze zwierzyną?

— O nie, daleko lepiej... w przeszłym tygodniu jeździłem dwa razy, uszczułem raz siedmiu, drugi raz dziewięciu. To pewnie już granica; jakże pojedziemy?

— Prosto jedźmy przed siebie.

Wstąpili na wązkie, długie zagony, naprzemian zarosłe oziminą, najeżone rżyskiem, lub podorane. Nie można było jak się należy okładać, nie chcąc tratować młodych zbóż.

Podjechali z wiorstę, aż pod lasek olszowy.

— I tu nic nie będzie — odezwał się pan Stanisław.

— Jedźmy jeszcze pod wieś, a potem dokoła i ku domowi.

— Tak, *par arquit de conscience,* żeby nie mieć nic sobie do wyrzucenia.

Gdy od wsi skręcili w prawo, roztoczył się przed nimi jeden ogromny szlak ugoru.

— A to co? dworskie pole, czy co?

— Nie, to ślachta — objaśnił Szczepan — razem muszą ugorować, weldle paśnika społecznego z chłopami. Ajno się akurat pasą owce gromadzkie.

Rzeczywiście na górze szeroko rozpostarło się wielkie stado czarnych i białych owiec. Opodal na kamieniu siedział owczarz.

— Wiesz co, spytajmy się tego pastucha — rzekł hrabia — on tu dzień w dzień wysiaduje, to musi wiedzieć o wszystkich zającach, jeżeli notabene jakie istnieją.

Postąpili, i ujrzeli starca zgarbionego, o twarzy pomarszczonej, białych gęstych brwiach, w baraniej ogromnej cza-

pie i w łatanym kożuchu. Siedział, pochylony na sękatym grubym kiju, nieruchomy. Ani nawet głową nie ruszył na widok myśliwych. Pies tylko, w nogach mu leżący, ku chartom podskoczył i najeżył się warcząc.

— Mój przyjacielu — zagadnął hrabia — nie wiesz tu gdzie o zającu jakim?

Stary podniósł powoli głowę, zmierzył po kolei blademi oczyma intruzów i rzekł powoli:

— A sia-du je tu je-den. A-le nic z te-go.

Uśmiechnęli się panowie.

— Jakto nic z tego?

— A bo nic! Już je-go tu nie-je-den ga-niał, i nie dał ra-dy.

— Szczuł go kto?

Ale stary już widać więcej rozmawiać nie miał ochoty, bo spuścił napowrót głowę i milczał.

— *Il est épatant!*

— *Epatant!* Słuchaj stary, gdzie ten kot nadzwyczajny siaduje. Załóż się, że go weźmiemy... Tylko go nam pokaż.

Spojrzał znowu chłop, jakby się namyślał, podniósł się, wyciągnął rękę:

— Sie-dzi aj no, jak on wądołek co się woda pszczy. — I usiadł mrucząc: — A tak i to po pró-żni-cy!

— No, zobaczymy. Wiesz, Romanie, że jestem zaintrygowany.

— I ja także. *Ce n'est pas banal.* To musi być jakiś gracz kot. Ale teraz cicho, i patrzeć. Jedźmy na lewo, od lasu.

Zdala widać było wodę świecącą w dołku, koło którego siedzieć miał ów niepochwytny zając. Myśliwi, okrążywszy, wskazane miejsce, poczęli się zbliżać. Nagle hrabia przyciszonym głosem zawołał:

— Heco!... Heco, heco!

Nie mówiąc słowa więcej, zwracają się ku prawej stronie, zakreślają koło zrazu szerokie. Wytężają wzrok, całem ciałem w prawo na siodłach pochyleni. Psy z postawionemi uszami w urywanych susach postępują.

— Ale ty masz oko! Nie mogę go zobaczyć — szepcze pan Stanisław.

— Tam o sążeń od tego białego kamienia.

— Widzę go!

Pod bryłą czarnej ziemi szarzeje jaśniejsza kępka. Dla profana byłaby to tak samo bryła ziemi lub kupa perzu, ale myśliwego oko czuje w tem raczej niż widzi żywą ofiarę.

Zacieśnia się krąg dokoła biednego szaraka. Już tylko ze 100 kroków go od wrogów dzieli. Drgnął! pomknie! Nie, on się tylko poprawia, płaszczy, wciska w ziemię, jeszcze ma nadzieję, że go nie ujrzą!...

Wtem koń psiarczyka parsknął, jak-

by z rusznicy wypalił. Bodaj go!... Kot czmych!

— Heź go, heź go! — wrzeszczą wszyscy razem.

Zając mknie w pole jak strzała, charty za nim, dalej myśliwi galopem. Jakoś się przestrzeń między kotem a psami nie zmniejsza. Nareszcie wysuwa się jasno żółty Dolot, i w kilku olbrzymich skokach dopędza zająca, który jednak w tej samej chwili pryska w lewo, i odsadza się znów o jakie 500 kroków od stropionych psów.

— Zalećmy mu od lasu! — komenderuje hrabia. — Szczepan, zalatuj!

Rzeczywiście szarak pędzi teraz jak wiatr ku lasowi. Zabiega mu Szczepan, ale pomimo jego krzyków, zając nie zmienia biegu, przelatuje pod koniem i szybuje dalej. Napróżno charty ostatnie wytężają siły, napróżno Dolot w rozpaczliwych susach przybliża się znów

do zająca, jeszcze kilka sekund, a ten ginie w lesie...

Zjeżdżają się myśliwi, psy zziajane leżą.

— A to majster!

— Rzeczywiście. Miał stary rację.

— Toć on mi mało konia nie obalił — żali się Szczepan. — To dyabeł nie zając! A jaki wielgi! Prosto jak cielak!

— Ale kto musi być uradowany, to ten owczarz! Widzisz go Romanie? Stoi, na kamień wlazł, patrzy się i cieszy. On musi być z tym kotem w przyjaźni, muszą być na ty.

— Ho, ja temu kotu nie daruję, muszę go mieć. Dziś widać psy nie są w kondycji. Musiałeś je, Szczepan, kiepsko napaść.

— O nie, proszę jaśnie hrabiego, dostały właśnie samego mięsa z tego źrebaka.

— No, pamiętaj, jakby mi jutro ten

kot jeszcze drapnął, żebym cię więcej nie widział.

— To ty jutro znów przyjedziesz na niego?

— Przyjadę. Muszę go wziąć.

— Chcesz może moich psów do pomocy?

— Nie! muszą go moje wziąć! Ale ty przyjedź.

— Dziękuję ci, ja jutro nie mogę. A tamten stary dureń wciąż się patrzy i urąga nam! Widzisz go?

— To bestja! Zobaczy on...

* * *

Jadą ci sami myśliwi, a z nimi dwie amazonki wysmukłe i dwóch jeszcze jeźdźców, jeden młody, drugi starszy, siwy już. Opodal Szczepan ze swą smyczą i drugi chłopiec też z trzema chartami. Dzień jest prawie zimowy już, ale słoneczny, wesoły. Wesołe też jest

całe towarzystwo. Postępują bezładnie traktem: widać dalszy cel wyprawy mają.

— Jak żyję nie jechałem na zająca z taką emocją — rzecze hrabia.

— I ja to samo mogę powiedzieć — odzywa się jedna z amazonek — tylko moja emocja jest wręcz przeciwnej natury.

— Co pani baronowa przez to rozumie? — pyta najmłodszy z myśliwych.

— To, że byłabym uszczęśliwiona, gdyby wam dziś także ten zając uciekł.

— *C'est charmant!* — zawołał pan Stanisław. — A to dlatego, że dziś go mają brać moje charty!

— Choćbyśmy go dziś i uszczuli, już on nas i tak upokorzył. Pomyśleć tylko, że nędzny szarak nas tu tyle w takim rynsztunku sprowadza. *C'est au moins original.*

— Żeby nie był zającem, byłby bohaterem.

— Skończy się dziś jego bohaterstwo!

— I to właśnie jest niewypowiedzianie smutne. A zresztą *ne vendez pas la peau de l'ours avant de l'avoir pris.*

— Ileś ty jego razy szczuł ostatecznie, Romanie?

— Cztery razy.

— I zawsze ci się tak samo z uśmiechem na swych zajęczych ustach wymknął?

— Zawsze: pierwszy raz dał 1 obrót, drugi raz dwa, trzeci raz...

— Trzy.

— Nie, żadnego! Czwarty raz znów jeden obrót. To nic jeszcze zając, ale ten wspólnik jego, ten owczarz, który mnie od tygodnia przygniata swą sardoniczną pogardą!

Zaśmieli się.

— To rzeczywiście ciekawy typ —

rzekł pan Stanisław. — Jeżeli go dziś nie będzie, połowa tryumfu stracona.

— Czy to daleko jeszcze?

— Już pan ma dosyć tego sportu?

— *Excusez baronne, j'ai 12 heures de wagon dans les reins, moi!*

— Już dojeżdżamy, oto pod lasem ów ugór sławny, moje Waterloo.

— A Wellington twój, ów owczarz sławetny, czy jest?

— Owce są... i on jest, stoi! ho, ho! Ale słuchajcie państwo, ten kot raz mi się tylko, pierwszy, dał jako tako zahecować, zawsze pomyka zdaleka. Musimy się więc jak armia ustawić. Ty Szczepan ruszaj ze swoją smyczą pod las, jak ten stożek siana widać, i pod tym stożkiem stań...

— Tylko pamiętaj — przerwał pan Stanisław — nie puszczaj psów, aż ja ci każę, pamiętaj!

— Zając siedzi na lewo od owiec, niedaleko tego stawku. My mu z char-

tami Stasia zajedziemy długim rzędem od strony lasu. Ja pojadę naprzód, dobrze? *pour vous montrer le chemin,* a za mną naprzemian jeździec i amazonka. Pardon, chłopiec z chartami niech zaraz za mną jedzie! *C'est plus prudent. Nous y sommes?*

— Jabym paniom radził, jeżeli chcą widzieć *la mort du héros,* aby zostały pod owym stogiem, przy Szczepanie.

— Przenigdy! — zaprotestował wesoło pan Stanisław. — Romana charty nie zobaczą nawet zająca żywym!

— Ale patrzcie państwo, ten owczarz jak nas śledzi! On jest najpewniejszy, że »to wszystko po próżnicy«.

— *Un peu de silence, auguste compagnie!*

— Jeszcze z pół wiorsty do zająca!

— Powoli, powoli państwo, aż mój Szczepan dojedzie do swego posterunku, a to z wiorstę będzie.

— Śliczne pole! Pyszny tor można-

by tu urządzić, lepszy jak twój, wiesz, Romanie — rzekł starszy myśliwy.

— Myśli baron, że mi to od razu na myśl nie przyszło? Mówiłem już o tem z Jazdowskim. Ale od dwóch gromad, szlachty i chłopów, w dzierżawę brać!...

— Ale ten hrabiny koń to niespokojny.

— Nie wierzcie temu, to baranek. Jadwisia umyślnie go ekscytuje, żebyście jej odwagę podziwiali.

— Słuchaj, Józiu! — pogroziła bratu hrabina.

— Możemy teraz ruszyć ostrzej.

— Ruszajmy, *mais, au nom du ciel, mesdames et messieurs, un pen de silence!*

— Okropnie się pan boi, żeby pańskim chartom nie uciekł.

Wtem psiarczyk rzucił się naprzód, spuszczając charty i krzycząc:

— Heź go! heź go!

Wszyscy konie puścili, wytężając napróżno wzrok. Psy też rzucały się na oślep w prawo i w lewo, aż z szumem pomknęły prosto. Nareszcie, o jakie tysiąc kroków, ujrzeli myśliwi jakby burą kulę, toczącą się z niesłychaną szybkością.

— Heź go, Sokół! heź go, Basia! — krzyczał p. Stanisław, okładając harapem konia, który też leciał jak szalony, aż pod chmury wyrzucając bryły błota.

Reszta myśliwych została w tyle. Zając szorował w stronę wsi. Charty się szybko doń zbliżały, on zaś zaczął zwracać na lewo. Ułatwiło to psom dopędzenie go po przekątni, i zdało się, że jeden z chartów już go ma. Ale w tej samej chwili zrobiło się zamieszanie, i kot, odsadziwszy się po obrocie ze dwoje stai, pędził wprost ku myśliwym.

Zabiegli mu, ale on nie pytał ani na wołania, ani na śmiechy, jeszcze baro-

nowej konia zestraszył, i szedł dalej jak wicher. Psy biegły teraz daleko za nim.

— Oho, już pana Stanisława psom uciekł.

— Na twoje teraz kolej. Leci prosto na nie.

— Jak ich Szczepan na czas nie spuści, i im też gotów umknąć!

Pan Stanisław jednak, lecąc za swemi chartami, Szczepanowi sygnału nie dawał. Czy miał jeszcze nadzieję, czy też wolał, żeby i tamte psy kota nie wzięły, skoro jego Sokołowi uciekł?

Popędzili w stronę stoga. Szczepan szamotał się na koniu, z trudnością mogąc utrzymać psy. Wtem zapadł się jak w ziemię, koń sam został pod stogiem, charty zaś w kilku skokach znalazły się przy zającu. Ten zgłupiał, prysnął w prawo, w lewo, ale już go Lotka w pół trzymała, skrzeknął tylko przeraźliwie i obwisł psom w pyskach.

— Hura, *victoire,* brawo! — wołali myśliwi, zjeżdżając się. Szczepan, osmarowany ziemią, łapał swego wierzchowca.

— Co Szczepanowi się stało? — zapytała pani.

— A dyć to, proszę jaśnie hrabiny, ściągnęły mnie ze śkapy. Chciałem trzymać, ale jak zobaczyły zająca...

— *Si celui-là n'a pas piqué une tête exprès, pour lâcher ses chiens!..* — szepnął pan Józef.

— *Tais-toi donc!* — zgromił go szwagier.

— Szkoda — rzekł p. Stanisław — już go moje znów zaczynały dochodzić.

Roześmieli się wesoło wszyscy.

— No, no — rzekł hrabia — nie gniewaj się! Na takiego mistrza trzeba było dwóch smyczy.

— Tak, tryumf do wszystkich sześciu psów należy.

— A co tam nasz owczarz? Czy tylko widział nasze zwycięztwo?

— Warto, żeby go państwo zbliska zobaczyli. *C'est un vrai type!*

— Jedźmy do niego!

— Jedźmy!

— Bardzom ciekawy co on powie.

— Rozpłacze się.

— Nie tacy oni sentymentalni.

— Siedzi. Tyłem się do nas odwrócił. Może o niczem nie wie.

— Wie, tylko udaje. Wiesz co, warto go będzie sfotografować.

— *C'est vrai que vous avez votre Kodak!*

— *Nuit et jour, baronne.*

— Nie może być — zaśmiał się pan Stanisław. — Musi mi pan pokazać swą nocną kolekcję.

— Przepraszam, bezpłatnie tylko ją płeć piękna oglądać ma prawo.

— Płeć piękna wcale się o to nie dobija.

— On poprostu śpi, ten wasz owczarz.

— Nie.

— Rzeczywiście, to jakiś oryginalny okaz. On nas zupełnie ignoruje!

Otoczyli starca, przystanęli, a on wciąż ani drgnął, zapatrzony w ziemię. Aż hrabia przemówił:

— Ojcze, patrzcie-no, ten wasz przyjaciel, ten mądry zając, wzięliśmy go. Ot wisi na troku, widzicie go? Cóż wy na to?

Stary milczał jeszcze chwilę, ramionami z pogardą ruszył, splunął głośno na bok, potem głowę podniósł, siwemi oczami panów i panie zmierzył, i powoli a dobitnie:

— Po-ca-łujta go w .... kie-dyś-ta go zdre-dą wzię-ni!

Spojrzeli po sobie mężczyźni, hrabina szybko woalkę na twarz zaciągnęła, baronowa chusteczkę do ust przyłożyła, wszyscy ściągnęli konie cuglami i ruszyli dalej.

Po chwili milczenia, odezwał się z przymuszoną powagą brat hrabiny:

— *Eh bien, il est joli votre ami!*

— *Quelle brute de paysan!* — oburzył się pan Stanisław.

— Przepraszam — wyrzekła hrabina — to jest wielki, wielki filozof!

I puszczając konia galopem, wybuchła niehamowanym już, serdecznym śmiechem.

URYWEK Z DZIENNIKA

HELENY P.

. . . . . .

20 maja.

Jestem nareszcie w B., zawinęłam do portu. Tym razem z prawdziwą radością opuszczałam Warszawę. Nie jestem stworzona do codziennej walki o chleb. Jaka to rozkosz nie myśleć: za co zjem jutro obiad, za co kupię sobie buciki, za co zapłacę stancję. Swoją drogą mi markotno. Zawsze to jest służba. Przytem obce miejsce, obcy ludzie.

Na przeciąg 4 do 5 lat trzeba mi się do nich przywiązać. Ciekawam, jak mi to przyjdzie. Miejscowość ładna. A ludzie? Pani L. lepiej mi się tu wydała niż w Warszawie w biurze strę-

czeń. Drobiazgowa i mantyczka musi być, już tam to odgadłam, ale z sercem. Nawet ładniejszą mi się tu wydaje. W warszawskiej tualecie wyglądała trochę sztucznie; w domowej sukni jest typową wiejską gosposią. Nie musi być młodsza od męża.

A on? Bardzo grzeczny, za wiele; ciągle przy kolacyi ze mną rozmawiał.

A Zosia, uczennica moja? Musi być skrytego charakteru. Zresztą nic jeszcze nie wiem. Że mi się prosto z mostu na szyję nie rzuciła, wolę to, dowodzi bowiem, że nie jest banalną. Obawiam się tylko trochę, żeby nie była samowolna i uparta: uważałam, jak jej matka po trzykroć kazała iść spać, a ona ani się ruszyła. Jedyne dziecko, pewnie je psują. Jednak 9-cio letnie można jeszcze przerobić.

Najważniejsza dla mnie, że mam pokój sama dla siebie. Zapowiedziano mi co prawda w Warszawie, że chwilowo

tylko mała śpi przy matce, która ją wzięła na czas bezkrólewia między ostatnią boną a pierwszą nauczycielką. Może się to jednak jakoś przeciągnie i ustali. Zwróciłam uwagę, że dla dziecka to o wiele zdrowiej, bo pani L. pokój ogromny, a mój maleńki.

21 maja.

Program lekcji ułożony. Pani L. ma wykształcenie powierzchowne, ale głęboki sens, a przytem takt i delikatność, tak że ja, która nie znoszę żadnego wtrącania się w moje funkcje, nie mogłam się gniewać za zmiany, jakich odemnie zażądała.

I on też przy obiedzie chciał się pedagogją popisać, a także oryginalnością: zaczął wynosić system Rousseau, wychowanie wolne w naturze...

Jak tak, rzekłam, to przedewszystkiem mnie trzeba czemprędzej stąd uciekać.

Ale najgorzej to będzie z fortepianem »naturalnym«.

Pani L. się roześmiała, on się najeżył, i nie dając za wygraną, począł dowodzić, żem mu nie pozwoliła dokończyć, że choć zachwyca się Emilem, w praktyce uważa Spencera za arbitra, o czem go zresztą najlepiej przekonywa sześcioletni synek jego przyjaciela hrabiego P., podług tej zasady chowany. Przytaczał dosłownie swoje dyskusje z owym hrabią, z którym jest na ty. Jaki on śmieszny! Ona przez ten czas siedziała zapatrzona w talerz, przepraszam, zajedzona. Co ci ludzie jedzą! Na tym punkcie są w harmonii oczywistej: nie w każdem stadle jest taki punkt.

Zosia inteligentna jest. Ale zamknięta w sobie! Robi wszystko co jej każę, ale ja czuję, że *in petto* zachowuje sobie dzieciak niezależność swojego ja.

Matka ją trochę psuje, ale tylko w małych rzeczach.

24 maja.

Przyjechał dziś sąsiad D., kawaler lat koło 30-tu, przystojny, wesoły, naturalny, dowcipny. Opowiadał mnóstwo historyjek z okolicy bliższej i dalszej, tak że od razu jestem *au courant* całej guberni. Z L. naprzemian żartuje i prawi mu komplimenta, a ten nie wie, czy się gniewać czy cieszyć.

Dziwna rzecz, między panią L. i D. zauważyłam spojrzenia, uśmiechy podejrzane, słowem telegrafowanie bez drutu. Tak mi się nieprawdopodobnym zdaje flirt, że mi przyszło na myśl, iż oni jaki niewinny figielek chcą spłatać mężowi. Ale nie. Ponieważ L. nie ruszał się z salonu, ona w danej chwili wstała i oczami skinęła na D. Gdy się znalazła w przyległym buduarku, on głośno rzekł: Ale, ale! mam dla pani

komis od mego ogrodnika... Wie pani, że te hijacynty wcale nie są czerwone...

Podszedł do niej, zaczęli dyskutować głośno o kwiatach, potem ciszej, i z za kotary widziałam jak on jej jakiś papier podawał, a ona go szybko schowała.

Bardzo mi to nieprzyjemnie. Ta mi się taką czystą, szczerą wydawała! A i niełądna przytem. Nie brzydka też, lecz nie świeża już, zęby ma nadpsute, figurę jak snopek, słowem na bohaterkę romansu nie stworzona! I to jeszcze z takim ładnym chłopcem! Fe!

I jacy oni nieostrożni! Toć mąż mógł ich widzieć, tak jak ja. On coprawda był czem innem zajęty: mną. A może ona mnie umyślnie mężowi do gustu wybrała, żeby go mną zająć? okropność!

Co on mi mówił przez czas gdyśmy byli sami, bo nawet Zosia akurat wyszła? Zdaje się, powiedział mi, że mam

śliczną rękę i nogę. Właśnie w tej samej sekundzie żona jego przyjmowała list z rąk D., ja zaś, patrząc z ukosa na nich, udawałam, że poprawiam sobie coś u bransoletki. L. widocznie wziął to za wzruszenie i zmieszanie, bo się szybko zbliżył i dotykając rąk moich:

— Ja pani pomogę...

Rzuciłam się w tył jak oparzona, i wyszłam za Zosią.

Dlatego notuję te szczegóły, że mam jakieś złe przeczucia, i chcę mieć dla własnego sumienia jakby protokół.

Boże, czy znów przyjdzie po warszawskim bruku za lekcjami lub miejscem latać? Hania będzie tryumfować. Jednak ja się z nią nie zgadzam. Podług niej, samo przyjęcie »służby« jest spodleniem. Niby to nie jedno brać pieniądze za pojedyncze godziny, czy miesięcznie lub rocznie! Co prawda ona na to tylko za jedne godziny bierze

pieniądze, żeby drugie poświęcać ubogim darmo. Lecz i na wsi, przypuszczam, możnaby tak się urządzić. Tylko trzeba zgody »państwa«. Tak, to jest niewola!

Dziwna rzecz. Od początku nie miałam do L. sympatji. Ale pókim przypuszczała, że sam żonę poczciwą zdradzać musi, budził we mnie wstręt moralny; teraz, gdy wychodzi, że on jest zdradzanym, budzi odrazę równocześnie fizyczną.

25 maja.

Jednak ta pani L. ma serce. Co się do niej schodzi chłopstwa z okolicy, wszyscy po lekarstwa. L. to gani, kryją się więc ludziska, chowają za krzakami, płotami, podkradają się jak spiskowcy, a on jak które zobaczy, przepędza het za bramę. Jest to czasem bardzo komiczne. Ona się tem zasłania, że do doktora jest półtorej mili, ale tu i tacy

przychodzą, którym bliżej do miasta niż do B. Dostają darmo poradę, w którą wierzą, i lekarstwa.

Miarkuje widać, że nie mam sympatji dla jej męża. Opowiadała mi dziś, gdy się spalił sąsiedni folwark, jak L. ratował właściciela, z którym *notabene* wcale nie żyje. Cały zasiew jesienny mu podobno darmo dał, i jeszcze masę innych rzeczy, nie żądając zwrotu w pierwszym roku. Ja w tem co prawda widzę tylko nowy przejaw jego próżności. Może się uprzedzam. Ostatecznie dla żony, córki, dla służby, on bardzo łagodny, może dlatego, że zimny.

Na co pani L. mi go chwali? Wygląda, jakby go kochała. Doprawdy między nią i D. to chyba co innego, nie flirt. Ale co?

Tak mi się zdaje, że onaby chciała, żeby mąż sprowadził się napowrót do jej sypialni, on zaś się opiera, więc ona, dla ocalenia swej miłości własnej wobec

służby, zatrzymuje Zosię. Ja na tem na czysto zyskuję.

Dziwne dziecko ta Zosia. Pytam jej się, gdzie matka.

Nie wiem, pewnie znowu jakimiś brudasami zajęta.

Ci brudasi, to biedni ludzie, poprawiłam.

Ruszyła nieznacznie ramionami. Ona ma podstawę charakteru ojca. Swoją drogą miewa dla matki wybuchy czułości, poczem znów zapada w chłód. Ojciec przy mnie jej nigdy nie pieści, ale mała nieraz chodzi do niego i dość długo tam bawi.

Chciałabym szczerze ją sobie zdobyć. Dotąd jakoś mi się nie wiedzie. Pani L. bezwarunkowo jest winna, że jedynej córki nie chowa na obraz i podobieństwo swoje, i że pozwala ojcu przeważnie na jej umysł i serce działać. Co prawda, jeżeli męża kocha...

29 maja.

Poznałam znowu sąsiedztwo, państwa M. Pozują na *grand monde,* ona mianowicie. Panu L. w to graj; to też cały wieczór emablował panią M., rzeczywiście ładną, a przytem zalotną osóbką. Biedna pani L.! Ona nie może mieć flirtu z D.: jak ona się mieniła, gdy jej mąż szeptał coś do ucha sąsiadce. Rozmawiała z M., ale mu biedaczka musiała odpowiadać piąte przez dziesiąte. Ja tymczasem oglądałam album. M. zaczął robić przytyki do warszawskich sukcesów L., do jakiejś aktorki, pani L. się uśmiechała, ale mało jej łzy z oczów nie trysły. Biedne stworzenie! To łajdak ten M., żeby się tak na żonie L. mścić za swoją! Ja myślałem, że życie wiejskie to takie proste, szczere.

Ostatecznie tak mnie wszyscy traktowali jako mebel, żem wyszła. L. już

kilka dni traktuje mnie zdaleka; jest zawsze bardzo grzeczny, uprzedzająco grzeczny, ale mówimy do siebie tylko co koniecznie potrzeba. Tak doskonale.

Odebrałam list od Halki C. Jedyna uczennica, która dotrzymała obietnicy. Głupiutki list, ale jakże serdeczny. Dobra dziewczyna. Kłania mi się od T.

Urwałam pisanie, usłyszawszy skrzypnięcie pode drzwiami. Wyszłam ze świecą do salonu, nie było nikogo. Serce mi jeszcze bije. W tej absolutnej wiejskiej nocnej ciszy, gdy już wszyscy śpią prócz mnie, jest coś mistycznego. W mieście ani w żadnem t. z. letniem mieszkaniu niema takiej. Tu mnie ona rozmarza, upaja poczuciem bezmiernej samotności. Chwilami przejmuje mnie groza, jakby na cmentarzu. Wszystko, co to milczenie, mianowicie zbliska, przerwie, wstrząsa wszystkiemi nerwami.

Trzeba iść spać, a raczej się położyć i poczytać »Ludzi bezdomnych«.

30 maja.

Wczoraj już byłam napół rozebrana, gdy znowu coś skrzypnęło za drzwiami. Zapytałam głośno: kto tam? Usłyszałam jeszcze trzask, zarzuciłam szybko szlafrok i wyszłam spiesznie: nikogo w salonie widnym od księżyca jak w dzień. Tymczasem drzwi moje się zamknęły, i u góry ujrzałam świetlany punkt. To otworek u spojenia drzwi, przez który widać całą moją umywalnię i łóżko! Co to za dom? Ktoś mnie w haniebny sposób podgląda. Kto? L.? Może też być Tomasz, służący. Chyba nie. Zasłoniłam otwór, ale już ani drzwiom, ani oknom, ani niczemu w tym domu nie dowierzam. Zginął cały urok moich nocnych sjest.

Mówiłam dziś dłużej z panią L. o jej pacjentach. Przyznała mi się, że wielu przychodzi zdrowych, tylko biednych, a czasem poprostu na gawędę i po

książki i gazety, które im pożycza. Prosiła mnie, żeby przy jej mężu o tem nie mówić, bo on jest zdania, że to dla ludu niepotrzebne. Coraz mi więcej jest sympatyczna. Pragnę gorąco zyskać jej zaufanie i przyjaźń. Czuję jeszcze w niej jakieś niedowierzanie. A jaka ona demokratka! Nigdy w rozmowach ogólnych nie zaczepia się tu o żadne kwestje polityczne ani społeczne, widocznie dlatego, że państwo się w kwestjach tych nie zgadzają. On dziś jednak odezwał się o wrodzonej wyższości arystokracji, a ona jak wpadnie na niego! Z trusi zrobiła się przez pół minuty lwica. Tylko przez pół minuty, i zaraz się zaczerwieniła, zmieszała. On był zły! Zwrócił jej uwagę po francusku, żeby podobne wybryki starała się poskramiać przynajmniej wtedy, gdy nie są sami. Czy o mnie chciał mówić, czy o Tomaszu, który właśnie wchodził z półmiskiem?

Jak on się dziwnie na mnie patrzy. Nie w oczy, nie w twarz, a w piersi, i niżej, jakby świdrował przez suknie. Ten wzrok mnie denerwuje okropnie.

Tak samo patrzył na mnie ten adwokat u Heni. Tylko tamten na nas wszystkie tak patrzył, przynajmniej tak twierdziła Lucia.

Poznałam doktora z Z. Inteligentny człowiek. Bynajmniej nie ma pretensji do pani L. za jej konkurencję. Przeciwnie, są w wielkiej przyjaźni, tak że mnie to znów aż zastanowiło, jak z D. Ile razy byli dalej od innych osób, zaraz coś szeptali, i ostrzegali się, gdy się kto zbliżał. Jota w jotę to samo co z D. Widać ona ma taki specjalny sposób bawienia gości. Inaczej musiałabym ją poczytać za istną Messalinę.

L. L. mają jechać oboje na parę dni do ciotki za Warszawę. Cieszę się z tego.

1 czerwca.

Zeszedł mnie dziś L. samą w ogrodzie. Prosił grzecznie i jakby nieśmiało o pozwolenie usiąść na ławce.

— Jaki pani ma nadzwyczajny dar ubierania się — rzekł.

— Bardzo mało o tem myślę — odpowiedziałam.

— A bo pani nie potrzebuje. Będąc tak doskonałą fizycznie od stópek do główki, pani bezwiednie każdym ruchem, pozą, musi wyrażać piękno, rozlewać czar. Wenus nie potrzebowała Herzego.

Zrobiłam ruch by wstać, on dodał szybko:

— Niech pani poczeka! Przyszedłem się spytać, czy pani nie ma jakich sprawunków lub zleceń do Warszawy.

— Nie, a choćbym i miała, nie chciałabym pana niemi trudzić.

— Dlaczego pani to mówi?

Głos jego miał dźwięk tak dziwny, przytłumiony, żem na niego spojrzała. Był czerwony, oczy mu błyszczały, twarz miał niby uśmiechniętą, ale jakimś nienaturalnym, przymuszonym uśmiechem.

— Czy pani nie domyśla się, że cokolwiekby mi pani kazała dla niej uczynić, radościąby mnie przejęło?

Przez sekundę znów pomyślałam wstać i odejść, alem się zorjentowała, że lepiej rzecz w żart obrócić, i odrzekłam, śmiejąc się jak mogłam:

— Nie, wcale mi się to nie zdaje. Zresztą prosiłam już panią L. o parę drobnych sprawunków.

— No, to ja je żonie odbiorę i sam załatwię.

Wydał mi się komicznym. Zaśmiałam się na dobre:

— Kiedy to o igły i guziki chodzi! Zosiu, Zosiu, pójdźno tu, proszę cię!

Zosia zeskoczyła z huśtawski i zbliżyła się, on się poruszył, zły, na ławce.

Mówiłam coś do Zosi, ale czułam na sobie ten jego brzydki wzrok. Czego ten człowiek chce odemnie? Za co on mnie ma? Pamiętam, co mi mówiła nieboszczka ciotka Aniela, gdym do szóstej klasy przeszła: »To wszystko dobrze, tylko to źle, że ty się za ładna robisz, jak masz być nauczycielką«.

Ostatecznie te umizgi L. są dosyć niewinne, i od kogo innego śmiałabym się tylko z nich. D. niech mi powie kompliment, choć wiem, że się ze mną nigdy nie ożeni, wcale się nie obrażę. Nawet będę rada. Z L. co innego. Jemu nie wolno. Przecież ja jestem u jego żony, przy jego córce! To czyni jego zaloty w najwyższym stopniu wstrętnemi, oburzającemi i ubliżającemi.

Przed wieczorem poprosiła mnie do siebie pani L., i oddając sporą paczkę:

— Czy mogę panią prosić o małą przysługę? Niech pani weźmie tę paczkę i schowa pod klucz. Jakby w mojej

nieobecności przyjechał pan D., to mu ją pani będzie łaskawa doręczyć, dobrze? Tylko sza o tem!

Przyznaję, że mi zaraz przyszło na myśl, że tam jest list do D. Ale ona dodała:

— Są to książki i pisma. Gdyby przypadkiem zjawił się wpierw doktór, to jemu pani paczkę odda. Zapieczętowałam ją, ale może ją pani otworzyć i przejrzeć to co tam jest.

Rzeczywiście otworzyłam paczkę. Zacna kobieta! To cały sekret jej! Oto Messalina! Oby setki takich było! Jaka szkoda, że ona synów nie ma!

Muszę napisać do Heni. Toć ona mi całą rodziną teraz. Dotąd jej nic nie mogę napisać, za coby mnie pochwaliła, ale niedługo może i to przyjdzie.

2 czerwca.

Jak mi dobrze dziś było, jak lekko! A to dlatego, że tego niegodziwca nie-

ma. Z Zosią zaczynamy się nareszcie trochę zbliżać. Rozgadała się dziś, opowiadała mi o swoich bonach. Miała jednę Francuzkę i jednę Polkę. Po Francuzce, starej kobiecie, ma bardzo czułe wspomnienia. Polka krótko była, kłuła dziecko szpilkami! Widocznie jakaś warjatka czy histeryczka.

3 czerwca.

Co za pech! Pełen dom gości się zjechało, a L. L. dopiero jutro wracają. Na szczęście krótko goście bawili, zjedli podwieczorek i pojechali.

Najpierw się zjawił D., za nim hrabiostwo N., ludzie już niemłodzi. Hrabia nadzwyczaj sympatyczny. Wszystko czytał, wszędzie był. A jaki uprzejmy, naturalny. Traktował mnie jak udzielną księżnę. Jednak w prawdziwym panu jest coś... A jaki liberalny: nie jest tak dumnym z nazwiska swego i tytułu, jak z tego, że dziad jego jeździł do

Ferney do Woltera. Hrabina nudna potężnie. Czyta tylko romanse francuskie i encykliki papiezkie.

D. zawsze doskonały. Z hrabiostwem taki sam *sans façon,* jak z L. L. Moje talenta gospodyni wynosił pod niebiosa. Na odjezdnem oddałam mu paczkę. Spojrzał mi głęboko w oczy i rzekł:

— Dziękuję pani, i bardzo się cieszę.

6 czerwca.

List od Heni, z Kalisza. Pojechała odwiedzić ciotkę swą i znalazła kondycję, gdzie ma prawie cały dzień wolny. Tłómaczy mi, że to nie służba! Zabawna jest. To mnie cieszy, że nie spędzi lata na kamieniach warszawskich. Jadwisia idzie za mąż, za urzędnika kolei. Henia naturalnie oburzona, zła, o ile ona złą być może. Jak ja jej zazdroszczę! Być zadowoloną ze swego losu, podnieść swe zajęcia do szczytnego po-

słannictwa, zapatrzeć się w cel tak wysoki, że się nie czuje własnej niedoli...

I ja się chwilami przejmuję swem posłannictwem wychowawczem, ale chwilami też ogarnia mnie rozpacz, tęsknota jakaś nieokreślona, życie moje wydaje mi się tak pustem, czczem, że zapytuję się sama siebie: na cóż ja żyję?

Dziś przecie mogę powiedzieć, żem była podwójnie pożyteczną. Pani L., cierpiąca, wyręczyła się mną przy wydawaniu do podwieczorku i kolacji. Będzie się to powtarzało coraz częściej, bo jest w stanie t. z. błogosławionym. Wstała z szeslongu tylko do ludzi, których się znów naschodziło huk.

Od powrotu z Warszawy, L. asystuje przy lekcjach muzyki. Siada w kącie i siedzi milczący. Poco? Co mu z tego? Tyle chyba, że mnie denerwuje. Myślałam, że po Warszawie się ustatkuje.

Ach, jaki on śmieszny! Trzy dni już mnie się wypytuje, co mówili hrabio-

stwo, ile minut i sekund siedzieli, co zjedli, czy wystawiono filiżanki sewrskie. Żółtaczki dostanie, że go w domu nie było.

8 czerwca.

Pani L. na dobre chora. Doktór powiada, że to nic złego. Rozmawiałam z nim sam na sam dość długo. Wypytywał mnie, jak się na wsi czuję, fizycznie i moralnie, potem o moje gusta; wypowiedział swe zadowolenie z tego, że pani L. »tak inteligentną i dzielną zyskała towarzyszkę«. »Przytaczam jego słowa, dla kontrastu z L. Gdybym była starą i brzydką, i doktórby pewnie ze mną całej godziny nie rozmawiał. I on mi chciał kompliment powiedzieć, być bardzo może, że i jego dotąd tylko moja »fizyka« przyciąga, ale swą admirację »uduchawia«. Powiadam, że dotąd tylko fizyka, boć o duszy mojej on po godzinnej nawet rozmowie nic

a nic wiedzieć nie może. Wystawia sobie poprostu, że nie może ona być gorszego gatunku niż moja twarz, figura etc. To się nazywa cenić cukierki podług pudełka.

Przez pierwszy kwadrans rozmowy był mocno żenowany. Ja się od razu poczułam z nim jak ze starym znajomym. Niema między nami tego muru niewidzialnego, który tutaj czuję w stosunkach z innymi, nawet z panią L. Ona jest demokratką, a swoją drogą nie byłaby pewnie wyszła za kupca galanteryjnego, i córkę też tylko za szlachcica wyda. Doktór jest mi bratem po urodzeniu, wychowaniu, myśli.

Żeby mnie Henia słyszała! A gdybym jeszcze dodała, że doktór ma 31 lat, czarne oczy, śliczne wąsy, i białe zęby... Co prawda z tem wszystkiem można być brzydkim jak noc, do czego właśnie doktorowi niedaleko.

Pani L. prosiła mnie o zaniesienie

kilku złotych i małego zawiniątka starej kobiecie, zamieszkałej na końcu wsi. We wsi mnie psy opadły, miałam niemało strachu. Co to za nędza! Kobieta siedemdziesięcio-letnia najmniej, niewidoma, skurczona. Mieszka przy córce, wdowie, wyrobnicy, też już niemłodej, obarczonej trojgiem małych dzieci. Stara siedziała sama na słońcu przed chatą. Co ona mi naopowiadała, nawyrzekała. Ale to wszystko żale nieosobiste: wszyscy dobrzy, i córka jej, i sąsiedzi, i cała wieś, i państwo, tylko jej bieda, bieda straszna, od czasu jak żyje na świecie.

Wracałam ścieżką polną, przez olszynkę. Co tam za chłód: jak w piwnicy. A słowików nie wiem ile śpiewa na wyścigi. Płynie tam rzeczułka, czysta jak kryształ. Czyby kąpieli tu gdzie nie znalazł? Właśnie doktór bardzo dziś zalecał Zosi rzeczne kąpiele.

W domu trafiłam na przykrą bardzo scenę. L. bił po twarzy jakiegoś czło-

wieka na korytarzu. Podobno to straszny łajdak. Wstrząsnął ten widok mną do głębi. Nie mogło mi się w głowie pomieścić, żeby ten człowiek, tęższy od L., nie zmiażdżył go, skoro raz od stosunków ludzkich przeszli do zwierzęcych.

Podobno L. jak wpadnie w pasję, nie zna niczego. Tego mu jeszcze brakowało!

9 czerwca.

Prosiłam panią L. o kilka rubli. Zmieszała się i nieśmiało spytała, czyby mi nie zrobiło różnicy zaczekać kilka dni. Miała, powiada, nieprzewidziane wydatki w Warszawie, a męża nie chce nudzić. Wiem, co to za wydatki, nie dla siebie na stroje, a dla biednych. Cały stos różności przywiozła. To ptaszek ten L., żeby żonie tak skąpić, a sam na aktorki pieniądze wyrzucać. Tem bardziej, że gdyby nie jej gruby posag, nie byłoby jego samego tutaj.

Naturalnie, że poczekam kilka dni, ile tylko będzie trzeba. Byłam tak rozczulona, żem miała ochotę panią L. uściskać. Święta kobieta. Już ona mi teraz zupełnie wierzy. Staję się jej adjutantem. Przyznała mi, że mnie z początku nie dowierzała. Widząc, że nie jestem tak bardzo religijna, bała się, że jestem socyalistką.

Z Zosią też lody przełamane. Sentymentalną ona być nie może, nie leży to w jej usposobieniu, ale o ile może okazywać sympatji, to mi jej okazuje.

Żeby jeszcze ten L. mnie chciał zostawić w spokoju! Od dwóch dni już mu nie wystarczają lekcje muzyki: gdy wyjdę na spacer z Zosią, zjawia się jak *deus ex machina*. Ale tylko oczy po dawnemu puszcza. Język trzyma na wodzy, rozmawia grzecznie jak braciszek. To taktyka!

Był znów dziś doktór. Gawędziliśmy

we troje z panią L. ze trzy godziny. (L. tymczasem pojechał do państwa M. na flirt i na dobrą kolację, bo tam podobno najlepszy kucharz w powiecie, powiada doktór). Tak miłej, swobodnej rozmowy nie miałam bardzo dawno. Musiałam im opowiedzieć całe moje dzieciństwo, i jak oni się tem przyjęli! Potem doktór się o sobie rozgadał, ze skromnością aż do przesady posuniętą. To człowiek z sercem i charakterem.

Uśmieliśmy się z jednego pacjenta pani L. Znachor czyli »wróż« powiedział mu, że ma raka, ale cała rzecz w tem, czy samicę czy samca. W pierwszym razie z nim źle, w drugim się wyleczy. Dla określenia więc płci raka, kazał chłopu nosić 3 dni na dołku korzeń chrzanu, na nowiu zerwany. Ponieważ po 3 dniach chrzan nie zczerniał, rak jest samcem. Rozpoczęła się fantastyczna kuracja, której powtórzyć

nawet nie potrafię: wchodził tam i księżyc i zioła przeróżne, i litanje i sok z zielonej żaby! Ostatecznie pacjent ledwo żyje, a doktór stwierdził u niego poprostu ostry katar żołądka, który tylko djetą usunąć można. Co prawda jaka to djeta możliwa jest u tych biedaków! Płakać się nad tym chciało, ale i od śmiechu trudno się było wstrzymać, gdy, przynaglony przez panią L., spowiadał się z kuracji »wróża«.

15 czerwca.

Zaniedbałam dziennik, niedługo się tygodnikiem stanie. Mam coraz więcej zajęcia. Zaszło od sześciu dni niemało wypadków, jak na wieś bardzo ważnych. Byli znów goście, ci sami M. Nieznośni. Ona zawsze nadęta i kokietka, on mdły i złośliwy zarazem.

Onegdaj na spacerze z panią L. i Zo-

sią, spotkałyśmy pana D. konno. Jego majątek graniczy z B. Odprowadził nas aż pod sam ogród, wiodąc za cugle swego wierzchowca. Do domu zajść nie chciał. Była, między innemi, mowa o doktorze; powiedziałam, że mi jest bardzo sympatyczny.

— Zaraz mu to powtórzę — rzekł D. — to się uraduje!

Spojrzała na mnie pani L. i dodała:

— To znaczy, że sympatja wzajemna.

— Nie, bo u panny Heleny sympatja, a u niego zachwyt!

Rzeczywiście uznanie takiego człowieka jak doktór pochlebia mi bardzo. Ale będą mi teraz nim dokuczać.

Zosia mnie cieszy: biorę ją ze sobą do niektórych chat. Z początku się trochę krzywiła, a onegdaj, nad dzieckiem któremu w nóżce kość próchnieje, i które dzień i noc krzyczy z bólu, zapłakała rzewnemi łzami, i dziś się napierała, żeby mu zanieść cukierków, które

dostała od ojca. Sam L. też się zmienił. Zaczyna pochwalać pożyczanie książek chłopom, lituje się nad ich biedą, starej Tomaszowej posłał nic nie mówiąc ćwierć korca żyta, dziadowi bez nogi dał 40 groszy przez Zosię! Koniec świata! Jemu jednak nie dowierzam.

Ma ochotę mnie fotografować, a ja nie chcę, więc proponuje się założyć, że mnie bez mojej wiedzy sfotografuje.

To upały! Pani L. ofiaruje mi pożyczyć swój kostjum kąpielowy z Ostendy, ale cóż mi z niego bez łazienki do przebierania się. Spróbuję coś takiego sklecić z płótna, z prześcieradeł. Nawet dla Zosi to będzie przyzwoiciej.

17 czerwca.

L. mnie rzeczywiście sfotografował na spacerze. Okropnie wyglądam.

Pyszna rzecz kąpiel! Upięłam 4 prześcieradła na tykach i jest kabina. Nie-

stety niech wiatr dmuchnie, ściany lecą w górę i zostaje się jak na dłoni. Żeby tak właśnie kto przechodził!

Przed wieczorem pojechaliśmy wszyscy do państwa M. Nie miałam ochoty, i niepotrzebnie dałam się namówić pani L. To dopiero ludzie bez taktu i wychowania, ona szczególnie. Nie zrobiła ani jednego ruchu, nie rzekła słowa, któreby nie przypominało wszystkim, że ona jest wielką damą, ja zaś i bona jej córeczki istotami ulepionemi z zupełnie innej, podłej gliny. Nie zobaczą mnie więcej u siebie, za nic w świecie. Jak myślę, żem mogła się do takich ludzi dostać...

W powozie L. ciągle gubił binokle i szukał ich na dnie powozu, grzebiąc rękami po nogach naszych. Miałam ochotę mu przydepnąć palec obcasem.

18 czerwca.

Spotkałam popołudniu w ogrodzie L.

z aparatem fotograficznym. Gdym szła dalej, nie zważając na niego, zawołał:

— Niech pani nie ucieka, nie będę już pani fotografował, przynajmniej nie inaczej jak w stroju ostendzkim.

Dogonił mnie i prawił dalej:

— Przecież w Ostendzieby się pani za to wcale nie gniewała, to dlaczego tu? Niechce pani? Już raz pani zakład przegrała!

On zdolny jest się rzeczywiście podkraść... Muszę się zrzec przyjemności kąpieli, przez niego. Szkoda! Już on mi widać nie da spokoju, zatruje cały pobyt w B.

Jak się między ludem trafi zła natura, to już do potworności dochodzi. Niema tego u nich, żeby, jak we Włoszech, kogo zasztyletować, ale jest tu niejaki Myślak, który przyjechał z Ameryki, i zaraz ogłosił, że żonie swej co tydzień wybije jeden ząb, a jak zębów zabraknie, powróci do Ameryki. Co pra-

wda żona się w jego nieobecności źle prowadziła, lecz to nie wystarcza do usprawiedliwienia podobnego znęcania się. Już wybił jej sześć zębów. Cała wieś wie o tem, rachuje tygodnie i zęby, i nikt palcem nie ruszy w obronie biednej ofiary.

Jak się trafi natura szlachetna, to znowu najszczytniejsze poświęcenie objawia cicho, nietylko bez próżności i reklamy, ale, rzec można, bez poczucia własnej wartości, instynktownie.

Gospodarz jeden, Marcin Ziółko, ma dwóch synów: starszy kaleka, garbaty i z krzywą nogą, młodszy jak dąb. Młodszy zachorował na czarną ospę. Znachor orzekł, że musi umrzeć, chyba że kto się poświęci i chorobę od niego weźmie, a to w ten sposób, że się na 24 godzin bez odzieży przy nim położy. Garbaty podumał, poszedł do spowiedzi i komunii św., i położył się z bratem. Naturalnie się zaraził, obaj jednak szczę-

śliwie wyszli i żyją. Znam owego garbatego, nietylko nigdy nie mówi o swem bohaterstwie, lecz przeciwnie, gdy mu je przypomnieć, zagaduje o czem innem, albo macha ręką:

— To głupstwo, kuždenby tak potrafił! — powiada.

20 czerwca.

Budują w olszynie kabinę z drzewa. L. sam cały dzień robotami dyryguje. To ma być niespodzianka dla mnie. Otóż właśnie nie skorzystam z kabiny ani razu, jakem Helena P.

Przy obiedzie tryumfująco oznajmił, że kabina o 4-tej będzie gotowa. Oczekiwał pewnie podziękowania, ja zaś odpowiedziałam tylko:

— Bardzo to dobrze dla Zosi, czasem nawet w deszcz, byle ciepło było, będzie się mogła kąpać, skoro się będzie mogła ubrać pod dachem.

Pani L. to naiwna!

— To nie dla Zosi, a dla pani mąż kazał zbudować, i nawet mu pani nie podziękuje — rzekła.

Przed wieczorem znalazł się doktór. Przejeżdżał przez B., więc wstąpił. Byłam zdenerwowana, a widok jego od razu mnie uspokoił. Namawiał mnie, żebym nie czytała powieści, a poważne rzeczy. Ofiarował mi się ich dostarczyć.

— Aby nie medyczne! — zawołałam.

— To pani do medycyny ma wstręt? — spytał poważnie.

Pocieszyłam go, że bynajmniej, a tylko bałabym się odkryć w sobie jakie straszne choróbsko, które mogę spokojnie mieć, nie wiedząc.

— To fraszka — rzekł. — Oboje z panią L. zrobilibyśmy konsyljum i od razubyśmy panią wyleczyli.

Nadszedł L. i przywitał doktora zimno, jakby mu chciał dać poznać, że tu jest niepotrzebny, skoro wszyscy zdrowi. Byłabym mu oczy wydrapała!

22 czerwca.

Napisałam znów do Heni. Długom pisała, a naprawdę nic o sobie nie powiedziałam. Chciałam jej po dawnemu się wyspowiadać, ale listownie to trudno.

Co za gorąco! Nie wytrzymam chyba, jutro się w rzece wykąpię. Kabina rzeczywiście pyszna, prawdziwy salonik. Nie, trzeba słowa dotrzymać, przynajmniej jeszcze czas jakiś. Niech się utrze, że to dla Zosi tylko zbudowane. To bieda, że nie mogę spać z otwartem oknem, bo dwa łokcie pod niem trawnik ogrodowy.

. . . . . .

Przerwałam pół godziny pisanie, aby zrobić małą »eskapadę«. Byłam w kąpieli! Wszyscy śpią w domu, bo już po północy. Wyszłam oknem, w kostjumie kąpielowym i w płaszczu tylko. Klucz od kabiny na szczęście miałam u siebie. Księżyc za chmurami, ciemno!

Zrazu lęk mnie zdjął iść tak po nocy wiorstę. Alem wzięła na »ambit«: właśnie pójdę! I nie żałuję. Słowa nie złamałam, bo ono tylko na dzień było dane. Parno jak w południe. Co to za rozkosz zanurzyć się w tej zimnej wodzie! Po chwili zrzuciłam kostium. Jaka to różnica. Pierwszy raz w życiu kąpałam się tak pod gołem niebem. Miałam dziwne uczucie życia jakiegoś pozakonwencjonalnego, spotęgowanego, jakiejś pełni używania wszystkimi nerwami, porami, członkami memi. Nie umiem tego wyrazić. Tajemniczy strach jaki uczuwałam, jeszcze mnie podniecał. Chwilami zdawało mi się, że jestem sama na sto mil dokoła, to znów że ze wszystkich stron ludzie nachodzą. Przez chwilę księżyc przebił chmury, a ja stanęłam jak wryta, jakby każdy ruch miał mnie zdradzić przed całym światem.

Tom się rozegzaltowała zwyczajną

kąpielą! Nie, bo ona była nadzwyczajna. Ale spać to będę dziś! Pani L. zaraz jutro opowiem wszystko. Może mnie kto zobaczyć wychodzącą oknem, bo mam zamiar stale ten sport uprawiać. Poproszę jej naturalnie o zupełną tajemnicę.

26 czerwca.

Jak tu czas leci! Żeby dzień miał 48 godzin, to i tegoby było za mało. Rozumiem szczęście, jakie sobie stworzyła pani L., mając przytem dzieci. Kompensuje jej ono zupełnie posiadanie takiego męża. Choć ona go naprawdę kocha! Jak ona go może kochać? Chyba tylko zmysłowo. Przystojny jest, ale to mało... Ta miłość ją poniża. Nie, nie poniża jej, bo skoro jest jej mężem, to obowiązkiem pierwszym jej jest kochać go.

Wyręcza się coraz więcej mną. Dziś lekarstwa warzyłam i mieszałam. Ona

mi co chwila dziękuje i raduje się, że ma pomocnicę na czas swej niemocy. L. nie rozpędza już zupełnie teraz bab i chłopów złażących się do dworu. Zaproponował mi przy kolacyi francuski romans »*L'Homme de joie*«. Będę to czytać, odpowiedziałam, jak mi pani powie, że warto.

— O, moja żona zrobiła ślub pięć lat temu, że francuskiego romansu nie weźmie nigdy do ręki.

Odmówiłam raz jeszcze, a mimo to przed godziną znalazłam owego »*Homme de joie*« na swoim stoliku. Skusiła mnie ciekawość, i przejrzałam szybko książkę. Jak on śmie mnie coś takiego dawać? Toć to jest obraza, za którą, gdybym miała ojca lub brata, spoliczkowałby go. Ale on wie, że ja nie mam jednego ani drugiego, ani nikogo, ani nic! Nędznik.

Powinnam ten dom opuścić. I opuściłabym, gdyby nie żona jego i córka.

Ostatecznie trzymając go, jak to czynię, zdaleka, okazuję się wyższą nad jego niegodziwości, i on sam tylko się poniża.

Czas do kąpieli, to mnie orzeźwi, do równowagi sprowadzi.

27 czerwca.

Co to za okropność, jak się choroba zagnieździ u tych prostych ludzi, nie mających pojęcia o higjenie i czystości. Doktór mówił, że jak starego Adama ręka nie będzie opatrywana codziennie, trzeba mu będzie ją uciąć! Zosia koniecznie chciała się sama podjąć tego opatrunku, i ledwom jej to wyperswadowała. Kochane dziecko.

Podejrzewam panią L. o nieczyste zamiary. Pojechała dziś z mężem i Zosią w dalsze sąsiedztwo do jakichś państwa R. To w porządku. Ale dlaczego na odjezdnem rzekła mi:

— Jakbym pragnęła, żeby starego

Adama mógł jeszcze doktór zobaczyć. Nie spodziewam go się w tych dniach, ale gdyby przyjechał, niech mi pani przypomni go do Adama zaprowadzić.

Odjechali, a tu w godzinę doktór jest. Coś mi się patrzy, że ona mu dała znać, nietylko że z Adamem źle, ale i że ja będę sama w domu. On się coprawda dziwił że państwa niema w domu, ale też jakoś niewyraźnie.

Co to znaczy? Czyżby swaty? To pyszne! Doktór moim mężem! Chcę sobie to wystawić, a nie mogę, takie mi się to zdaje niesłychane. Henia dopieroby wrzawy narobiła!

Czy on mnie kocha? Musi mieć jakiś »afekcik«, skoro się poddaje kombinacjom pani L. Ale czy ma konkretne zamiary? Czy mówił z panią L. o nich? Toby mi się nie podobało, żeby tak bezemnie rozporządzano moją osobą.

Dziś w pierwszej chwili chciałam go przyjąć trochę chłodniej. Lecz z nim

to niepodobna: taki szczery i głęboki. Tak, głęboki: nie mówi nic, coby nie trafiało do przekonania, albo do serca; nie zna pustych frazesów. Serdeczny, a przytem pełen uszanowania i taktu.

Cóż to, czy i ja...? O zakochaniu z mojej strony niema mowy. Dotąd jest mi tylko bardzo sympatyczny. Na męża to za mało.

»Partją« niewątpliwie byłby dla mnie dobrą. Powinnabym wyjść za niego. Że taka Henia wyklucza ze swego programu małżeństwo, to co innego. Ona ma temperament bojowy i ideał społeczny który ją unosi. Ja zaś jestem sobie, prawdę powiedziawszy, trusia. Jam do walki na przebój nie stworzona. Próbowałam przecie iść niezależną drogą. Raz i drugi skończyłam na przyjęciu »służby«. U doktora byłaby trzecia. Lecz ja społecznie jeżeli coś mogę zdziałać, to tylko w ten sposób co pani L., a więcej od niej, wyszedłszy za ta-

kiego jak doktór, któryby podzielał moje cele i wysiłki.

Przedtem jednak trzebaby go nie tylko lubić, a choć trochę pokochać. Nie wiem ściśle, jak się to kochanie objawić może, ale czuję, że się jeszcze nie odezwało. Czy się odezwie kiedy? Zobaczymy. Z drugiej strony, jeżeli nie ma być nic z tego, to pocóż on ma brnąć. Powinnam go uczciwie ostrzedz. Co prawda jam mu sama żadnej zachęty nigdy nie dawała, jestem więc w porządku, i mogę poczekać, aż mi się w sercu rozjaśni.

Poczciwa pani L. A jak ona swego niegodziwego męża kocha! Dziś nie miała ochoty wyjeżdżać, czuła się cierpiącą. »Pojadę, rzekła mężowi, aby być kilka godzin przy tobie«. Jemu to wyznanie nie bardzo w smak było, odwrócił się i wyszedł, a ona, odgadłszy widać co myślę, jak go zacznie pod niebiosa wynosić: »Pani nie ma dla

niego sympatji, o! wiem, bo go pani nie zna jak ja, nie wie pani, co za serce on chowa pod tą zimną powłoką. Ja też czasem, zdarzy się, skrytykuję go, a potem muszę przyznać, że koniec końców on lepszy odemnie«.

Niesłychane zaślepienie. Henia powiada: każda z was filozofka, bohaterka, a niech ją chłop raz ściśnie, już wszystkie ideały w kąt, i na klęczki przed królem stworzenia.

Pani L. nie rzuciła w kąt swoich ideałów, ale to właśnie jest olbrzymie, że je umie pogodzić ze czcią takiego bałwana. Dzięki tej łamanej sztuce jest najszczęśliwszą z kobiet.

29 czerwca.

Śliczny list dziś czytałam. Odebrała go od męża, z Ameryki, kobieta przy kucharzu służąca. Co za delikatność uczuć. Dowiedziawszy się, że żona od 1 kwietnia poszła w służbę, pisze jej,

jeżeli jej niedobrze, jeżeli się z dzieckiem musiała rozstać i »serce jej cierpi«, żeby do niego przyjechała. A i on, mając ją przy sobie, choć trochę więcej wyda, z podwójną siłą będzie pracował i zarabiał. Nie śmiał jej tego dotąd proponować, a i teraz, choć pragnie aby przyjechała, jej samej decyzję pozostawia. Tymczasem przysyła jej 60 rubli, na dług zaciągnięty u niejakiego Kazimierza, ale jeśli jej za ciężko, to niech długu jeszcze teraz nie płaci, a weźmie dla siebie te pieniądze. Jeżeli mu odpisze, że chce jechać, to on jej »szyfkartę« (bilet okrętowy) przyśle.

Ona płacze, że od męża daleko, ale jechać sama się boi. A pieniędzy przez niego ciężko zapracowanych wydawać nie chce, zapłaci dług, a mąż jak co więcej przyśle, to ona tylko kobiecie cztery ruble da, co jej dziecko na wsi chowa, a resztę odda do kasy oszczędności, sama zaś do jego po-

wrotu służyć będzie. Odpisałam w tym sensie za nią, bo sama naturalnie nie potrafi. List męża jest pisany literami i stylem niezgrabnym, miejscami jest niezrozumiały, ale tem więcej zadziwiająca jest delikatność wyrażonych uczuć i myśli.

Był dziś D. Gdym weszła do salonu, rozmawiał żywo z państwem L. Nagle wszyscy umilkli, a D. witając się ze mną rzekł: »Przywożę pani ukłony od doktora, widziałem się z nim w mieście«. Mówiąc to patrzył mi w oczy przekornie. Pani L. szybko o czem innem zagadnęła, ale ja się mimo to zarumieniłam, a L. na złość począł wygadywać na doktora, naturalnie z punktu jaki mu się zdaje najważniejszym:

— Doktór przez swój socjalizm i filan...

— Przepraszam, żaden socjalizm! — przerwała żywo pani L.

— No, to przez... liberalizm i filan-

tropię zaszedł w długi, nigdy się z biedy i miernoty nie wybije, zmarnuje się.

Pani L. i D. stanęli w obronie doktora, dowodzili, że właśnie ta jego bezinteresowność, połączona z głęboką miłością wiedzy, stawia go o całe niebo wyżej od większości jego kolegów. Ja wyszłam, poprostu by nie plunąć L. w twarz. Myśli może, że ja za doktora poszłabym dla pieniędzy! Nie rozumie, że jeżelim go dotąd nie kochała, to po tem com dziś usłyszała, dopiero go właśnie pokocham. Ale choćbym za djabła samego iść chciała, to panu L. co do tego? Co on sobie myśli? Czuje, że nie wart doktorowi kamaszy czyścić, i o to zły.

Muszę się z panią L. rozmówić. Ona nas z doktorem zbliżyła, to niech radzi. Takich napaści i wtrącań się jak dzisiejsze, ja znieść nie mogę.

Otóż to być w służbie. Przypuśćmy, że się z doktorem kochamy. L. jest pa-

nem w swoim domu, może doktorowi zabronić tu bywać, a gdzieindziej my się na razie widywać nie możemy. Zaraz jutro musi pani L., a jak nie, to ja sama dam znać doktorowi, żeby tu wcale nie przyjeżdżał, aż L. pojedzie do Karlsbadu. Nie, to byłyby jakby oświadczyny z mojej strony. Znowu jak przyjedzie, ten podły L. gotów mu impertynencję powiedzieć. W głowie mi się mąci. Pójdę do kąpieli, inaczej nie zasnę. Chmurzy się, ale w wodzie burzy się nie boję!

Warszawa, 1 lipca.

Jak ja żyję dotąd? Czemuż ja nie umarłam zaraz tam? Ja nie mogę istnieć dalej. Żebym sto lat żyć miała, nie zaznam chwili spokoju z tem wspomnieniem strasznem. Nikczemnik, zbrodniarz nad zbrodniarze. Ja umieram z rozpaczy, a on bezkarnie...

Nie, nie umrę, żyć będę i zemszczę

się, zabiję go, nie wiem jak, gdzie, ale tak pozostać nie może...

Dlaczego taki potwór taką jak ona ma żonę? Dlaczego w niego godząc, w niąbym ugodziła, w nią i w dzieci jej. Onaby umarła z boleści, razem z istotką którą nosi w sobie, a onby dalej świata używał.

Jak ona na mnie patrzyła, gdym powiedziała, że natychmiast wyjechać muszę. Zgadła, wyczytała w mej twarzy, że muszę koniecznie. Czy zgadła, że pretekst chorej ciotki jest zmyślonym? Próbowała mnie zatrzymać, wypytać, ale zaraz zamilkła i tylko jej łzy z oczów trysły. Powiedziała, że płacze mnie jak siostry. Biedna kobieta! A Zosia! Nigdy już ich nie zobaczę; uciekać, kryć się przed niemi muszę.

A doktór? Onby tamtego zabił jak psa. A możeby i on teraz mną wzgardził? Nie, jego dusza szlachetna, wy-

soka. Ale choćby nie wzgardził, czy mógłby chcieć mnie jeszcze?

Może przecie ani on ani nikt nigdy nie wiedzieć. Nie, jemu kłamać nie potrafiłabym. Niema już dla mnie nadziei, niema nic na ziemi. Przepaść, ciemności dokoła mnie. Umrzeć, umrzeć!

Pocom ja Henię wezwała? Cóż ona mi poradzi? Co się stało nie odstanie. Czy mam czekać na nią?

Czemu mnie żal umierać? Na co ja czekam? Trucizna leży przedemną. Chyba mnie wolno się zabić.

2 lipca.

Nie umrę, będę żyła. Tak Bóg każe. Jemu mam cierpienia swe, hańbę, nędzę ofiarować, aby na tym świecie spokoju ducha, a na tamtym doznać szczęścia bez granic. Tak mi dziś rzekł przez usta kapłana. Wyszłam, by za miastem, zdala od ludzi, skończyć, i do kościoła wstąpiłam. Zapomniałam o Bogu, ale

on o mnie nie zapomniał, i w ostatniej chwili mi zastąpił drogę.

Będę żyła, będę cierpiała, póki sił mych starczy, skoro taka wola Twoja, Panie. W Tobie jedyna nadzieja moja; Ty nie opuścisz mnie.

Tyś mnie natchnął, gdym wyjechała stamtąd, nie rzekłszy słowa. Każesz mi i jemu nawet przebaczyć, ale choć się silę na to, choć na świętej przyrzekłam spowiedzi, nie mogę jeszcze, za bliska jeszcze zgroza i boleść moja, ale wesprzyj mnie Boże, a wszystko co każesz uczynię.

Kalisz, 17 lipca.

Być matką, matką! To jeszcze straszniejsze niż wszystko!

Piszę to, ale co innego w duszy czuję. Znalazłam w Bogu ukojenie, teraz czuję w sobie moc nieprzepartą do walki: »Piękniejszego celu w życiu, szczytniejszego, powiada Henia, nie ma

żadna kobieta na świecie. Sprostaj mu, a na ludzkość całą z góry spoglądać będziesz miała prawo«.

Poczciwa dziewczyna! Umieściła mnie u swej ciotki. Posiedzę tu miesiąc, poczem wrócimy do Warszawy, i rzucę się w wir *struggle for life'u.*

Dziwna rzecz! pobyt w B. i to co się stało, tem bardziej teraz powinno mi stać żywo w pamięci. Tymczasem zdaje mi się nagle, że to wszystko het daleko, daleko gdzieś było, w przestrzeni i w czasie, a może tylko sen jaki!...

Dobrze mi tu jak nigdy nie było. Czuję, że w najcięższej pracy, w niedostatku, w nędzy, dobrze mi będzie, póki nie zejdę z drogi, którą kroczyć marzę!

. . . . . .

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
Biblioteka Główna
w Kielcach

SPIS RZECZY:

	Str.
Panna Żabińska	1
Obora zarodowa w Kaczynowie	69
Maligna	87
Antosia	107
Filozof	151
Urywek z dziennika Heleny P.	175

857
39=

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA w KIELCACH
BIBLIOTEKA
90451
Biblioteka WSP Kielce
0167478